

ODRODZENIE

TYGODNIK

Rok III

Kraków, dnia 1 września 1946 r.

Nr 35 (92)

WACŁAW KUBACKI

Pod znakiem epiki

Nic zwyczajniejszego nad troskę pisarza o los dzieła. Oprócz miłości rodzicielskiej wchodzi w grę także delikatniejsza i ważniejsza sprawa. Dzieło w pewnym momencie usamodzielnia się, idzie w świat i wyzwolone spod domowej opieki robi swą własną karierę. Dzięki swym wartościom indywidualnym staje się faktem społecznym. Nie mogłoby się nim stać, gdyby nim nie było w jakiś sposób już w stadium przedczytelniczym, indywidualnym. Literatura, to droga od twórców do współtwórców-czytelników. Odbiorcy wyzwalają owe indywidualistyczne, zamaskowane w utworach, pierwiastki ponadjednostkowe czy międzyjednostkowe. Pokolenia czytelnice, to symboliczna miara czasu i wartości.

Jeśli z tej strony spojrzymy na troskę pisarza o dzieło, które się odeń oderwało i w którym nic już zmienić nie można, a które mimo to z dnia na dzień licznym zmianom podlega, to nie trudno będzie nam dojrzeć w autorskim niepokojem funkcję społeczno-krytyczną. Cykl opowieści Marii Dąbrowskiej „Ludzie stamtąd”, jak świadczy trzecie wydanie („Czytelnik”, 1946), wytrzymał próbę dwudziestu lat. Już jednak dzie sięć lat temu, z powodu drugiego wydania, uważała pisarka za stosowne zastrzyknąć swej książce pewne dodatkowe substancje, przedłużające życie: „I jeśli treść anegdotyczna cyklu opowiadań „Ludzi stamtąd” — pisała w przedmowie w roku 1935 — zaczerpnięta jest ze stosunków poprzedzających wielką wojnę i bezpośrednio mi niegdys znanych, to ani ta okoliczność, ani sprawa czasu nie są tu rzeczą ważną, gdyż starałam się temat postawić na tej płaszczyźnie, na której, bez względu na epokę czy moją wspomnieniowość, rozgrywają się elementarne sprawy życia ludzkiego”.

Mowa tu o stosunku przeżycia do twórczości. Sprawa to ważna dla pisarki tej miary i tej rzetelności co Dąbrowska, bo zawiera w sobie podstawowe zagadnienia wielkiego pisarstwa realistycznego. Tutaj znowu krytyk spotyka się z pisarzem, po to zresztą, aby podyskutować, gdyż formuła Dąbrowskiej nie wydaje mi się szczęśliwa. Swoistość i trwałość dzieła literackiego wcale nie polega na tym, że ono jest wieczne, że temat został postawiony na takiej jakiejś płaszczyźnie, gdzie bez względu na czas i epokę „dzieja się elementarne sprawy życia ludzkiego”. W samym poszukiwaniu „wiecznej” płaszczyzny pisarz jest ściśle czasowo ograniczony. Każda konstrukcja to przewyższenie jednych warunków historycznych na rzecz innych, bo nie dzieje się ona poza czasem historycznym. O takim czy innym charakterze konstrukcji decyduje właśnie czas, w którym jej dokonano, czyli zespół wielu momentów.

W dalszym ciągu wskażę parę takich momentów, ściśle określonych czasowo i społecznie, które wywarły wpływ na ukształtowanie cyklu opowieści Marii Dąbrowskiej. W tej chwili interesuje mnie sprawa, w jaki sposób zagadnienie tematycznie realistyczne — stosunek materiału przeżyć do dzieła — stało się zagadnieniem symbolizmu. Widzę dwa determinanty autorskiego „sub specie aeternitatis”. Pierwszy, to uprzedzenie do powieści historycznej, zrozumiałe w pewnym okresie w Polsce, jako reakcja na krzepienie i rewizjonizm. Tymczasem folwarczna opowieść historyczna z biegiem lat. Trzeba przyznać, że powolna zazwyczaj „korektorka wieczna” w naszym wypadku zrobiła wszystko, co tylko było w ludzkiej mocy, żeby pozabawić dzieło Dąbrowskiej resztek „aktualności”, jaką mogło mieć ono jeszcze po pierwszej wojnie. W dziedzinie stosunków społecznych, zwłaszcza na wiejskim odcinku, czas od rozmachu wojny wybitnie przyspieszył, wskutek czego powstały pewne dysproporcje, przewidy i luki obyczajowe i kulturalne, które są potrzebne dziełom literackim do otrzymania ostatniego namaszczenia klasycyzmu. Potok czasu wypłykuje z dzieła to, co w nim jest ktrucho, aktualne: w dokładnie uchwytnych momentach dziejowych powstają „wieczne” aspekty dzieł.

Drugim determinantem, ściśle współdziałającym z pierwszym, był kult epiki, na który czas przypadła twórczość Marii Dąbrowskiej.



Maria Dąbrowska w okresie pisania „Ludzi stamtąd”

skiej. Powieści historycznej, zarówno w postaci legendy rycersko-szlacheckiej, jak rewizji dostojnych legend i powieści politycznej, w obu postaciach: współczesnej (Kaden-Bandrowski) i historycznej (Berent) przeciwstawiła historia literatury twórczość Marii Dąbrowskiej. Pierwsze dwa tomy „Nocy i dni” zdecydowały o epickich wawrzynach pisarki. St. Kołaczkowski wielbił epikę we wszelkich postaciach. Ustalono związki Dąbrowskiej z wielką powieścią realistyczną polityczną (K. W. Zawodźniński, „Przegląd Współczesny” 1933 i K. Czachowski, „Obraz współczesnej literatury polskiej”, t. III). Nawet krytycznie usposobiony do twórczości Dąbrowskiej M. Kridl wypowiedział swoje zastrzeżenia w kategoriach „epickich”, widząc w jej dziele raczej szczyt rozwoju tradycyjnej formy powieści polskiej, aniżeli rozpoczęcie nowej jej epoki („Rocznik Literacki”, 1933, str. 289).

O silnej sugestii epickiej świadczy fakt, że w miarę jak „Noce i dni” z powieści historyczno-psychologicznej, czyli z powieści o dawnym obyczaju, stawały się powieścią psychologiczną, w miarę jak z młodym pokoleniem Niechciców wchodziła powieść we współczesność czyli z epickiej, „wiecznej” stawała się aktualną, żywą — mała zachwyta. Ta sama fala tęsknot epickich, która wyniosła pierwsze tomy, obniżyła niesłusznie doniosłość następnych. Przedmowa do „Ludzi stamtąd” stoi widocznie pod znakiem epiki. Rozgłos „Nocy i dni” sprzyjał próbie epickiego ocalenia cyklu czworackich opowieści od roli „dokumentu historycznego”, a co więcej dopiero epos szlachecki ukazał wagę cyklu „Ludzi stamtąd”. Tego nie podkreślono w sposób należyty.

Jest to przecież jakby pendant do eposu dworskiego z akcją odwróconą: na pierwszy plan wysunięto służbę dworską, a właściciele mająca gdzieś na ostatnim planie, jak gdyby w ten sposób podkreślić chcieli swą zbędność. Powstał niby obraz saturnalniów literackich, zmiana roli panów i sług. Do miana eposu chłopskiej brakowało utworowi Marii Dąbrowskiej tylko pewnego formalnego szczegółu: tego poddmuchu dziejów, który zmiata bohaterów ze sceny po to, żeby bez obawy konfrontacji z rzeczywistością bujnie żyć mogli w pieśni!

Anegdotycznie rzecz biorąc, otrzymaliśmy opowieść o proletariacie wiejskim. Czynnikiem jednak organizującym tych farnali, bandosów i najmitów, zarówno klasowo (nieświadomie) jak literacko (świadomie), jest dwór. Wokół niego wszystko się kręci, od niego losy wszystkich tak czy inaczej zależą. Ci ludzie oderwani od dworu nie stanowiliby gromady, czyli celowego skupiska ludzkiego. Wieś polska oparta o gospodarkę zasadniczo indywidualną, podobnie jak nasze rękodzielnictwo, nie przedstawia wziętego materiału „epickiego”, w przeciwieństwie do prawdziwych „obszarych” rzemieślniczych, rolnych, pasterskich i wojskowych, znanych z obszarów rosyjskich. Klasycznym przykładem naturalnego podłoża „epickiego” o charakterze plemiennie-obyczajowo-gospodarczo-ustrojowym jest kozacka Szolochowa w „Cichym Donie”.

Staropolski zaścianek szlachecki przedstawiał w wyższym stopniu „wspólnotę”, niż uwłaszczona wieś. Porównywano „Ludzi stamtąd” z „Chłopami” (L. Piwiński, „Przegląd Współczesny”, 1927, kwiecień); zestawienie wypadło, rzecz prosta, na korzyść Marii Dąbrowskiej. Nie zauważono wszakże, iż „epopeja” chłopka Reymonta była chybiona przede wszystkim strukturalnie. Bohaterem epickim bywa zwykle jakaś wspólnota: rodzina, ród, klan, warstwa, klasa lub grupa plemienna utożsamiana z narodem. Niesposób uważać rodziny Borynów za przedstawicieli wsi. Naturalną wspólnotę wiejską przedstawiają czworaki folwarczne. Nasuwa się analogia do wczesnokapitalistycznego okresu w przemyśle. Służba folwarczna to jakby odpowiednik załogi manufakturowej; pracownik rolny staje się tutaj robotnikiem cząstkowym, to znaczy wykonuje tylko pewną, ściśle ograniczoną część pracy rolniczej, pracuje zespołowo pod kierunkiem i dozorem i mieszka przy swym warsztacie pracy. Są to czynniki organizujące, które nadto uświadamiają ostrą granicę między światem dziedziców i wydziedziczonych. Nic dziwnego, że ten właśnie teren obierała sobie świadomie klasowa powieść, kiedy przystępowała do zagadnienia chłopskiego.

Wspólnotę folwarczną organizuje jednak dwór; organizując zaś ją, wyciska na niej swe piętno. W ten sposób tłumacząc sobie ziemian-

skość à rebours opowieści poświęconych życiu proletariatu wiejskiego. W porównaniu z epopeją szlachecką mamy tu nawet jakby pewne podniesienie tonu, o którym marzył Mickiewicz. To co było nieosiągalne w „Panu Tadeuszu” ze względów „strukturalnych”, to stało się udziałem folwarcznego eposu Dąbrowskiej: służba wytwarza dobra dla drugich, nie spożywa ich zaś sama, co należało do trybu Soplicowskiego życia, a w ten sposób ocala się od zarzutu „wieprzowatości” bytu — daje idealny aspekt ziemianstwa.

Podziwiana technika koncentryczna Dąbrowskiej, będąca zresztą odmianą klasycznej techniki „opisu w ruchu”, oraz jedność miejsca i występowanie tych samych osób, przyczyniły się do uwydatnienia symbolicznej roli dworu, sprawując jednocześnie do minimum jego rolę konkretną. Nowość literacka polegała na pokazaniu, że treścią istotną życia dworu jest zespołowa praca służby. Otrzymaliśmy bez świadomych założeń społecznych obraz bytu ziemianstwa, jakby wywróconego na lewą stronę. Powieści tendencyjne przedstawiały zwykle nieróbstwo i zbyt ki państwa. W dziele Dąbrowskiej nie ma miejsca na państwo nawet w tej negatywnej postaci. Rozparł się w nim robotnik rolny, wypełnił je szczerle swym życiem tak, jak to życie wypełniła mu praca.

Wspomniana symboliczność dworu umożliwiła rozłoczenie czarów zamożności: jej zawdzięczamy opisy wiejskich dostatków i obfitości, dni i prac gospodarskich, zajęć zwyczajnych w domu i w obejściu i zajęć głównych, jak pranie owiec, strzyża lub żniwa, krajobrazów wszystkich pór roku, spiżarni, piwnic i strychów, wozowni, obór i stajen, ptactwa, zwierząt i ludzi. W następstwie zaś tego, że bohaterami zostali robotnicy, wszystkie obrazy zajęć i wszystkie opisy miejsc, narzędzi i warsztatów ich pracy stały się w „Ludziach stamtąd” prawdziwymi elementami życia, a przyroda nie galerią krajostrawów lecz naturalnym tłem dla wszystkich ich dziennych i nocnych spraw.

Epicka jest struktura cyklu opowieści. Biologia człowieka ciężko pracującego zdaje się mieć jeden cel: mięśnie. Jest to niewątpliwie jednostronność, ale jednostronność organiczna. Fornale, kosiarze, dójki żyją jednostronnie: wydają energię i odnawiają jej zasoby, pracują, jedzą i śpią. Takie uproszczenie cechuje zawsze nasze spojrzenie na rzeszę ludzką. Wszeczeństwie można oglądać, bez obawy zagubienia się, tylko jednostkę. Hektor jest wspaniały, Achilles zapalczywy, ale nie oni są bohaterami „Iliady”, tylko wojsko greckie i trojańskie. Tassowi zarzucały poetyki pseudoklasycyzm, „że bohater w nim mały” (Fr. Ksawery Dmochowski), bo Go-freda przesłonił dzielni krzyżowcy i pohańcy. Przyjaciele Mickiewicza (a w ślad za nimi niektórzy krytycy) gorszyli się przyziemnością przedstawionej w narodowej epopei szlachty. Tymczasem owa przeciętność i jednostronność bytowania ułatwia pocie nakreślenie szerokiego malowidła i poruszenie masy. W ten sposób odsłania się tło społeczne. Uproszczenie epickie, rezygnacja z indywidualizmu, to cena za biologiczną pogodę, wyrozumiałość i zgodę na życie. Wielki bohater to konflikt, to burza i grom. To materiał dla tragedii. Niepokój rozbudzonej jaźni, odkrycie sprzeczności nie do pogodzenia, niecierpliwe poszukiwanie prawdy stworzyły dramat. Przyrodniczej pierwotnej mądrości człowieka, nie zagłębiającego się zbyt w siebie jako w jednostkę, zawdzięczamy epikę.

Przywódce dzieła różnych epok i wartości nie dla porównywania ich ze sobą, lecz dla uprzytomnienia, że rodzajami literackimi rządzą prawa, które wywodzą się z życia, a nie z poetyk. Maria Dąbrowska jest pisarką świadomą celów i środków artystycznych. Jej szkic pt. „Orzeszkowa” świadczy, że dobrze ona zdaje sobie sprawę z pokrótce tutaj omówionych właściwości kompozycji epickiej, a w szczególności z nader ważnego prawa epickiej perspektywy. Dlatego chwali autorkę „Nad Niemnem”, że w jej dziełach przeżycia głównych postaci, choćby nie wiem jak były tragiczne, nigdy nie zastępują tła społecznego, „co przyczynia się do wzmocnienia epickiego charakteru twórczości Orzeszko-

wej" („Pamiętnik Warszawski", 1929, nr 4, str. 167).

Czarem pisarstwa Marii Dąbrowskiej jest stan nasycenia. W jej obrazach życia nie ma chorobliwego skupienia drobin; brak też miejsc wiotkich, nieenerwionych. Jej proza jest równo i gęsto tkana. Takie opowieści jak „Dzikie ziele", „Luzca z Pokucia" lub „Szkłane konie", uczą wysokiej sztuki szczegółów, jak mała która książka, uczą pisarskich miar i wagi. Pisarka pilnie strzeże trwałych granic między schematyzmem przejść powieściowych, a „opisem usamodzielnionym", co jest tajemnicą epiki. Wystarczy zwrócić uwagę na taki charakterystyczny fakt, jak oszczędne posługiwanie się materiałem obrzędów i uroczystości, choć to powieść wiejska i dworska! Nie podobna zapomnieć sceny zapraszania państwa na wesele wierszowaną oracją: „Zapraszająca mowa przedłużała się, a gospodarze dworu słuchali w milczeniu, cierpliwie aż do końca" („Dzikie ziele"). Kto wie, ile razy państwo musieli wysłuchać tej samej tradycyjnej przemowy? Cierpliwie, z grzecznością słuchanie zabawnego ludowego przekładacza realizmnie wprowadza nas w środowisko, wyraża oficjalny pobłażliwy stosunek dworu do spraw „ludzkich", a równocześnie przerwanie oracji przez autorski referat wygląda na epicką krytykę folklorizmu w powieści polskiej.

Sztuka epickiego patrzenia na życie nie polega na sprawadaniu wątku życiowego do zdarzeń zewnętrznych, potocznych, lecz na takim przedstawieniu tych zdarzeń, że wobec niego podział na wypadki z zakresu życia wewnętrznego i zewnętrznego okaże się zubożeniem rzeczywistości, skazą pierworodną życia i, co za tym idzie, utonnością artystyczną. Dlatego warunkiem epiki jest zarówno uchwycenie bogactwa szczegółów, jak ujęcie bytu jako pewnej całości, rozmiłowanie się w wielości i bujności jego przejawów, jak świadomość dosytu, pełnia i umiar. Oto tajemnica epickiej pogody.

Potrzeba pełni i harmonii każe w „Ludziach stamtąd" przeplatać się człowiekiem smutkiem i radością, cierpieniem i miłością, życiem i śmiercią. Kołowrót pór roku zagarnia mieszkańców wsi łagodnie i nieuchronnie w swój odwieczny ruch i nadaje opisywanemu życiu swoiste wymiary i cechy, które na mocy literackiej umowy nazywamy epickimi.

Epika jest zarówno pewnym sposobem przeżywania wartości, jak pewnym sposobem literackiego wyrażania przeżyć. To rozróżnienie postaci przeżycia od form artystycznego wyrazu pozwoli nam krytycznie rozstrząsać pewną sugestię „epicką", która stała się nieraz źródłem poważnych nieporozumień. Sugestia ta powiada, że pewne formy literackie zdają się być związane z pewnymi treściami myślowymi i uczuciowymi. Rodzaj epiki zdaje się determinować panteistyczną, radosną zgodę na wszystko, co nas może spotkać, biologiczne uwielbienie wszystkich przejawów bytu, dobrych po równi jak złych, jako darów życia.

Można w tym dopatrzeć się transpozycji starożytnego fatum, czynnika metafizycznego, na zrozumialsze dla nas pojęcia przyrodnicze — w ten sposób wracamy do tych pierwszych doświadczeń z życia natury, od których koloniści greccy na wybrzeżach Małej Azji swą spekulację ontologiczną i etyczną zaczęli. Nasz przyrodniczy wariant losu jest literacko użyteczniejszy, bo nieabstrakcyjny, a przy tym wystarczająco nieuchwytny i fantastycznością współczesnej wiedzy fantastyczny. Zapewne z tego powodu Mauriac, zgodnie z tradycją literatury francuskiej i modernizmu katolickiego (Alfred Loisy), nie waha się ujmować w kategoriach biologicznych, czyli unaoczniać, poetycko konkretyzować kościelnego dogmatu o grzechu pierworodnym.

Elementy pierwotnego przyrodniczego poglądu na świat tkwią immanentnie w literaturze — w poezji zupełnie wyraźnie — bo słowo jest nie tylko wyrazem, lecz także narzędziem myśli. Wcale nie o to idzie, że jakiś Hloh folwarczny, z dna swej nędzy, zaczyna filozofować, co zarzucała krytyka Dąbrowskiej. Można, omawiając znany aforyzm pierwszych radykałów religijno-społecznych, zapisać:

Kiedy len przedła matka Ewa,
A ojciec Adam siał, bronował —
Gdzie wówczas dziedzic się podziewał?
I kto wtedy filozofował?

Mędrkowanie Dionizego psychologicznie tłumaczy się dostatecznie („Tryumf Dionizego"). Pisarka okazała w tym szczególe bystrość duszoznawczą i socjologiczną. Skłonność bowiem do idealistycznego ocalenia się zdradzają unyśly pierwotne, magiczne. Wielewielkowi nieokreśloność stosunków właścicielskich, wychowanie chłopca poza systemem prawa, całkowita zależność wsi od dobrej woli i kaprysów pana — kształtowały chłopską bierność i niezarnadność, stwarzając odpowiednio podłoże do mistycznej prostracji.

Powtarzam, nie idzie o sam fakt zadumy nad życiem. Eleuter — Iwaszkiewicz kwestionował literackie wprowadzenie tego motywu: mniej idzie o treść refleksji, o jej wydźwięk etyczno-społeczny. Dionizego, który z powodu kalektwa znalazł się poza gromadą, przywraca do życia właściciela dworu, wynajdując

dań funkcję mleczarza. Można się na to pa- trzeć z różnych punktów. Lewicowcy działacz dojrzy w tym wysiłek pracodawcy, który nie pozwoli zmarnować się nawet odpadkom robotniczym. Ktoś inny znajdzie powody do pochwały pana. Socjolog zacieka wi mechanizm związków jednostki z gromadą. Psycholog zaś zwróci uwagę na proces odbudowy „człowieczeństwa" w jednostce, wracającej do gromadzkiego życia. Dąbrowską najwyraźniej zajęło zagadnienie psycho-socjologiczne. To oczywiście przesądza w pewnym sensie wydźwięk opowieści. Nazwałbym to determinizmem literackim, czyli drugiego stopnia. Zrozumieć należy i sprawiedliwie ocenić pisarza można tylko przez poznanie systemu jego determinizmów drugiego stopnia, na co przykładu dostarcza historia Dionizego.

Powrócony na łono gromady Dionizy przeżywa w wilię Bożego Narodzenia rolę inicjatora mistycznego w stosunku do innego osobnika wyrzuconego ze społeczności: „O to się rozchodzi — powiada — że jak człek potraci wszystkie swoje nadzieje, to dopiero widzi — że nic nie stracił, bo drugich nadzieje do serca mu przychodzą. Bo to co drugich je, tym żyć można i jeszcze jak. Wszystko utracić możesz, a jeszcze dość ci zostanie, bo we wszystkim jest twoje życie... W każdym drugim człowieku...". Jak określić prawdę Dionizego? Czy to jest maska solidaryzmu, czy panteizm, ewangelia, Walt Whitman czy upaniszady? Jedna rzecz dość pewna: mamy tu odmianę tzw. przez religioznawcę Harnacka „mizerabilizmu", czyli idealistyczną rekompensatę, wymarzoną przez nędzarza, załazek wszelkiego mesjanizmu.

Zatrzymałem się przy tym szczególe, bo filozofia kaleki zdradza pewne powinowactwo z filozofią ludzi zdrowych, występujących w cyklu opowieści, albo lepiej z „epicką filozofią", uznającą równą wartość we wszystkich przejawach bytu. Nieokreśloność obja- wienia Dionizego odpowiada płynności „biologiczmu". W drugiej połowie XIX wieku biologiczna koncepcja człowieka odegrała dużą rolę w rozwoju literatury, pogłębiając problematykę charakterologiczną i dając „naukowy" (jak się zwykle przy nowym kierunku mówią) obraz życia. Wyczuwam w niektórych miejscach u Dąbrowskiej łączność z biologicznym nurtem pozytywizmu. Takim typowym „biologicznym" tematem jest opowieść „Szkłane konie", charakterystyczna przez epicko współczujące potraktowanie fatalnego musu alkoholizacji.

Wiele objawów literacko-obyczajowych modernizmu tłumaczy się biologizmem. Nie wolno też zapominać, że biologizm skojarzony z „heglizmem dawał „wolę mocy" (u nas też kombinację przedstawia St. Brzozowski), a w połączeniu z schopenhauerizmem „wolę niemocy" czyli tesknoty buddystyczne. Dionizego zdanie: „Czy ty czy ja to na jedno wychodzi" wygląda mi na folwarczną wersję „fat tvam asi" (Czhandagya—Upaniszad, ks. VI). Biologizm ciąży ku mistycyzmowi. Mistycyzm był Janem Chrzcicielem „biologizmu". Wśród dystychów Anioła Ślązaka znajduje się jeden doskonale charakteryzujący omawianą tu postać filozofii epickiej:

Fürwahr, wer diese Welt recht nimmt in
Augenschein,
Muss bald Democritus, bald Heraclitus sein.

Zuchwała formuła mistyka powiada, że trzeba być raz Demokrytem, a innym razem Heraklitem, żeby móc pojąć wszystko w świecie, żeby się wyplątać z fenomenalnej rzeczywistości.

Demokryt był materialistą, który nauczał, że wszystko co istnieje powstaje mechanicznie ze ślepych spotkań atomów w próżnej przestrzeni, by ginąć wskutek nie mniej przypadkowych zderzeń tych niepodzielnych cząstek kosmicznego tworzywa. Bezelewość i ślepa konieczność — oto jeden obraz świata. Inny obraz zawdzięczamy Heraklitowi: dynamiczny i optymistyczny panteizm, który odkrywa rozumną zasadę w najbardziej sprzecznych zjawiskach i wierzy w absolutny sens bytu. Nieokreśloność, rozmaitość i bogactwo zjawisk oddaje poeta mistyk przez zaznaczenie sprzeczności podstaw filozoficznych, jakie narzuca życie. Na paradoksy zjawisk odpowiada paradoksem teoriopoznawczym. Owa rozpiętość stanowisk, dążność do pogodzenia sprzeczności, zachłyśnięcie się wielką harmonią świata, to jedna z form „epickiego" przeżywania świata, a mianowicie forma mistyczno-epicka.

Formy epickiego przeżywania wartości, podobnie jak inne formy życia, są uwarunkowane przez stosunki religijne, kulturalne i gospodarczo-społeczne. Zaogniona kwestia społeczna budzi sumienie pisarza, który, chcąc się odgrodzić od krzywdy, usiłuje ją rozładować, zaleźnie od stanowiska, jakie zajmuje wobec życia. Ponieważ krzywda społeczna zawiera w sobie pojęcie dualizmu, podziału światła na krzywdzących i krzywdzonych, więc filozoficzna walka z krzywdą przybiera postać monizmu: biologicznego, panteistycznego lub historycznego. Przewyciężenie dualizmu wydaje się być opanowaniem źródeł krzywdy. Biologizm nie ratuje człowieka krzywdzonego. To ocalenie dla tych wszystkich, którzy, nie mając odwagi albo nie mogąc krzywdzie zapobiec, chcą się przynajmniej od

krzywdy odgrodzić. Jest to votum separatum szlachetnych radykałów. Może to zaś być również wybór wyższy.

Nie darmo stwierdziliśmy ziemiański charakter tej czworackiej epepe. Epika, jako przymierze z życiem w imię równej wartości wszystkich szczebli bytu, to melancholijna pociecha zdeklasowanych. Rozkładowi starych form gospodarczych, społecznych i kulturalnych towarzyszą zjawiska podobne do tych, które występują przy rozpadzie ciał promieniotwórczych. Gładce dwory, z którymi zatracą się niewątpliwie sporo ładnych tradycji, a w pewnych wypadkach także zasług kulturalnych, zachodzą różnym obłokiem, który tak uroczowo zasnuwał epickie niebo nad Soplucowem. Dąbrowska ma rację mówiąc, że jej bohaterzy są symboliczni; wróciła do tej sprawy jeszcze raz w przedmowie do „Znaków życia". Każda przecież postać literacka jest symboliczna. Dionizy-filozof może być równie dobrze przebrany dzieciem, który zostawił swój majątek po pierwszej wojnie poza granicami kraju lub ziemianinem, który po drugiej wojnie musi się urządzić jakoś w mieście. Nie jest ważne, kogo Dionizy oznacza, lecz czego naucza i jak.

Symbolicznie można także pojmować epicką formę literacką, albowiem zjawiska deklasacji zdają się być epikogeniczne. Nie znaczy to jednak, żeby postaci „Ludzi stamtąd" żyły poza historycznym czasem i przestrzenią społeczną. Tkwią one twarde w swej epoce i ciągną z jej dna, jak rośliny z gruntu, swoją moc i surową urodę, swą dobrą i złą dolę.

Na podstawie epicką pisarki składają się następujące pierwiastki: chłonność życia, cieszenie się bogactwem zjawisk oraz ich przemijaniem i obiektywizm, wyrozumiałość, pobłażliwość. Znamiennie są pod tym względem sądy Marii Dąbrowskiej o Conradzie i Orzeszkowej, na co zwracała uwagę krytyka. „Aby być epikiem czystej wody — powiada pisarka — Conrad posiada za mało skłonności do upajania się samym toceniem i przemijaniem bytu, za mało też kontemplacyjnej, pobłażliwej i pełnej współczucia miłości do wszelkiego bytu zastanego".

Dziedzina Conrada to dramata psychologiczne. Gdzie w grę wchodzi dążenia, ideały, normy, tam nie może być miejsca na współczucie dla „wszelkiego bytu zastanego". Różnica między Conradem a epikiem w ujęciu Dąbrowskiej to różnica: 1) rodzajowa (różnica między eposem i dramatem) i 2) historyczna, genetyczno-literacka. Pisarski ideał Conrada i epicki ideał Dąbrowskiej to owoce różnych formacji kulturalnych. Na płaszczyźnie filozoficznej odpowiednikami obu postaw byłiby Kant i Hegel. Nie mniej ważne jest, co chwali Dąbrowska w twórczości Orzeszkowej: „Porzuciwszy rozważania ideologiczne na temat rodzinnego środowiska szlacheckich zaścianków i żydowskich miasteczek, Orzeszkowa wchłonęła tu po prostu w siebie to środowisko olśnionym okiem rozkochanego artysty — aby następnie przeobrazić na szlachetny obiektywny realizm opowieści z pozoru tylko rodzajowych, a w istocie ogólnoludzkich" („Pamiętnik Warszawski", 1929, nr 4, str. 165).

Jest to wprawdzie odwieczny ideał epicki, lecz wyinterpretowany według dzwiewnastowiecznego estetyzmu, sensualizmu i humanitaryzmu. Epikiem-humanitarystą był także Homer. Inaczej jednak wyjaśniał te cechy eposu wiek osiemnasty! My dziś mówimy o współczuciu dla wszelkiego bytu zastanego, bo mamy za sobą biologiczne tradycje. Teoria sztuki XVIII stulecia tłumaczyła litotę dla pokonanych Trojan przy pomocy konstrukcji „wzniosłość i piękno", jako dwu form podstawowych estetycznego przeżycia. Mówiono, że w bezwzględny Achillesie przeżywamy „wzniosłość", podziwiając go nie bez grozy, a litotę odczuwamy na widok włóczęgo ciała Hektora sprowadzono do kategorii „piękna" (Burke).

Nawiasem mówiąc, humanitaryzm starożytny epepe, który my pojmujemy jako rodzajową cechę literacką, badacze innych dziedzin uważają za oznakę postępu etycznego, rozwoju religii od bóstwa plemiennego do boga ludzkości. Helleński uniwersalizm, uwzględniający nawet właściwości szczerpope, pozostaje w niewątpliwym związku z szero- kimi stosunkami handlowymi i kulturalnymi ruchliwych greckich kolonistów. I z tej więc strony pada nieco światła na konwencjonalność pojęcia ponadczasowości w sztuce. Złudzenie ponadczasowości, epickiej odwieczności spraw ludzkich, jest zstudeniem biologicznym, polega ono na powtarzaniu się pewnych zjawisk. Powtarzalność oceniamy uczuciowo jako niezmienną, odrywając w ten sposób zjawiska od ich naturalnego podłoża. „Te są wieczne chody niezmiennie zegaru" — powiada St. Trembecki w „Zofiówe". W opowieści „Dzikie ziele" dziedzic niechętnie zezwała służyć w porze sprężu na półście na odpust i odprawia zakochaną parę, która bez poczucia odpowiedzialności zwlekła swój powrót. Zdarzenie głęboko ludzkie i odwieczne nie tylko w sensie humanistycznym, lecz także gospodarczym, bo, jak wiemy skądinąd, zakłócanie prac zniwanych z powodu jar-marcznych zabaw i świętowania, to stara troska właścicieli ziemskich (por. Nina Assorodobraj, „Początki klasy robotniczej", „Czytelnik", 1946, str. 122).

Można by też przypuszczać, że czasowo uwarunkowany powieściowy ideał epicki był, między innymi, powodem wyboru środowiska czy ograniczenia go do nieświadomzonego proletariatu wiejskiego oraz „politycznej" izolacji cyklu. Refleksem np. wojny japońskiej jest w życiu dworskich ludzi tylko zdrada małżeńska, czyli sprawa elementarna. Przeniesienie spraw miłosnych, w świetle takich dokumentów jak „Pamiętniki bezrobotnych", to jedno z następstw filozofii epickiej, ujmującej życie pod kątem spraw elementarnych. Trzeba jednak przyznać, że w swym ograniczeniu tematycznym i artystyczno-ideologicznym umie pisarka podołać wymaganiom społecznym, jakie postawił jej realizm. Przykładem „Pocieszenie". Owczarowa na wiadomość, że maż jej padł na udar serca na pastwisku, wybucha ślepo pod adresem dworu: „Żeby zaraza padła na wasze owce, co mi się przy nich zaharowa! Co przy nich człowiek jak ten pies musi zdychać!

I wyla w piękną przestrzeń:

— Co chło z tego mo! Co chło z tego mo!
Ludzie się oburzyli, gdyż kto jak kto, ale owce to już nie były winny".

To pozorne odwrócenie uwagi od sprawy zasadniczej, daje pośrednio duży efekt artystyczny. Podnosząc niebezpieczeństwa epickości, nie można zamykać oczu na społeczne znaczenie tej metody literackiej: kontrast artystyczny dwu warstw jest równocześnie kontrastem społecznym, a tak zwany moment epicki, czyli uchwycenie obrazu życia w jakimś zwrótnym okresie dziejów, jest w cyklu Dąbrowskiej momentem klasowym (zmierzch obszarnictwa). Nie mówiąc już o tym, że epika powieściowa jest rodzajem artystycznej konstrukcji, który pozwala na wyjątkowo „wierne" przedstawienie całości stosunków życiowych; przy czym nie idzie tu o zakres, bogactwo i wszechstronność, lecz o wierność proporcji.

Swoiste zabarwienie epickiego ideału powieściowego zaznaczyli pośrednio krytycy, którzy pisali o Marii Dąbrowskiej. Stefan Kołaczowski łączył jej humanitaryzm z Duhamelem i literaturą skandynawską (Dodatek do „Współczesnej literatury polskiej" Feldmana, Kraków 1930, str. 639). K. W. Zawodziński przypomniał irracjonalny hymn na chwałę życia z „Hadzi-Murata" Tolstoja („Przeгляд Współczesny", 1933, styczeń, str. 58, przypisek). Ważny to szczegół z powodu panteistyczno-immoralistycznego charakteru tego ustępu. K. Wyka poruszył biologiczną koncepcję pisząc o „Czasie i człowieku w „Dniach i nocach" („Kultura", 1932). W związku z tym, że krytycy podkreślają jako cechy epickie upajanie się zjawiskami bytu i współczującą miłości do świata, a zarazem jako uzupełnienie do tego, co mówiłem o mieszanii postawy epickiej z filozofią „biologiczną" przypominałem, że według Ernesta Kretschmera wśród klasyków nauk biologicznych przeważają piknicy, typ ludzi czujących silne związki z życiem, dobrodusznym, cieszącym się bogactwem zjawisk zmysłowych („Geniale Menschen", Berlin, 1929, str. 195).

Kołaczowski podnosząc epicki charakter twórczości Marii Dąbrowskiej zbурzył równocześnie mit ponadczasowości, a bliżej nie określony przez epików „szlachetny obiektywizm" sprowadził do normalnych wymiarów literackich: „Nazwałem to nowym przymierzem z życiem, nowym pojednaniem z nim, można by to nazwać i nową ciekawością, potrzebą poznania go raz jeszcze od nowa bez uprzedzeń i założeń. A to opowiadanie o życiu w całej jego pełni, o życiu, które jest tego przedmiotowego opowiadania godne — to właśnie epika" („Rocznik Literacki", 1932, str. 15). Zastępuje tu na uwagę ciekawa sprzeczność. Kołaczowski najpierw mówi o poznawaniu życia w całej pełni „bez uprzedzeń i założeń", a zaraz potem się poprawia, że ma na myśli nie każde życie, lecz takie, „które jest tego przedmiotowego opowiadania godne". Poprawka to zaszczytna dla krytyka, bo jest to właśnie konflikt biologii i etyki, życia przyrodniczego i życia społecznego!

Nie tu koniec kłopotów z epickimi ideałami. Jakie życie jest godne epiki? — pytamy. Wtedy dopiero wypływa kwestia poglądu na świat, kryteriów wartości, norm prawnych, słowem czynników najściślej związanych z epoką i środowiskiem. Kołaczowski też nie wahał się mówić o epice Marii Dąbrowskiej w kategoriach „klasowych": „...Trzeba sobie uświadomić, że „Noce i dnie" odczute mogły być w całej pełni przez inteligencję, związaną bezpośrednio z tradycjami wiejskimi i szlacheckimi. Inny brak będzie, przynajmniej w pewnym stopniu, zdolności wycucia prawdy historyczno-społecznej i psychologicznej i uczuciowego rezonansu na świat przedstawiony przez powieściopisarkę" („Marchok", 1935, kwiecień, str. 555).

Obecnie możemy ściślej określić epikę. Mamy w niej zawsze pewien nurt biologiczny. Jest to jednak biologizm względny, który nie prowadzi do zubożenia i rezygnacji życiowej, który w pewnych wypadkach nakazuje człowiekowi walkę nawet bez widoków zwycięstwa. Jest to właściwa postawa epicka. Postawa, o której mówiłem z powodu „Tryumfu Dionizego", jest następstwem biologizmu bez-

(dokończenie na stronie siódmej)

K. W. ZAWODZIŃSKI

Stulecie trójcy powieściopisarzy Eliza Orzeszkowa

Ani w tych kilku rysach charakterystyki Sienkiewicza *) (z wyjątkiem może uwag o jego batalistyce), ani w składającej się z nich ogólnej opinii o tym pisarzu nie znajdziemy nic bardzo sprzecznego z wyobrażeniami, jakie urobiły się o nim przed półwiekiem. Inaczej z Orzeszkową. Już społeczne znaczenie jej dzieła (że zaczniemy od spraw, na których skończyliśmy uwagi o autorze „Trylogii“) zgoliła inaczej przedstawia się niż w chwili jego powstawania. Wpłynęły na to przede wszystkim zmiany w rzeczywistości (inaczej, niż widzieliśmy to u Sienkiewicza, którego rzeczywistość pozostała taką, jaką była — „historyczną“ w jego aktualnych artystycznie dla nas utworach), w rzeczywistości ją otaczającej, którą



Eliza Orzeszkowa

Orzeszkowa-nauczycielka starała się przekształcić swymi dziełami, będącymi zarazem tej rzeczywistości artystycznym ujęciem.

Zmiany te wykraczają poza zwykle oddziaływanie długiej lat koleji, która sama potrafiła zdezaktualizować doraźne tendencje dydaktycznych powieści (np. pouczenie pamiętnika „Waclawy“, żeby panny „z towarzystwa“ bez posagów, więc nie mogąc wyjść za mąż, brały się do pracy, zamiast siedzieć na fartuszu krewnych, żeby nie gardziły nawet rzemiosłem).

Zmienił się nie tylko układ stosunków ekonomicznych i społecznych. Kraj, do którego zwracała się pisarka, zmienił swe granice i swoje oblicze narodowościowe. Nie ma ghetta, którego najpiękniejszą epopeją pozostanie na zawsze „Meir Ezofowicz“; nie ma białoruskich chłopów i współżyjącej z nimi szlachty zaściankowej; nie ma emigracji zarobkowej inteligencji i konieczności zwalczania niepożądanych wpływów tego zjawiska na ideologię społeczeństwa. Sprawa kobieca rozwijała się szybciej i radykalniej niż tego żądały i przewidywały Waclawy i Marty. Z dydaktycznej strony twórczości Orzeszkowej pozostało tylko wezwanie do pracy, tylko najogólniejsze pouczenie „kochajmy się“, tylko technicznie zawsze aktualnego humanitaryzmu.

Ale to, co ściślej nazwać byśmy mogli „znaczeniem społecznym“ jej dzieła, nie tylko nas dziś nie zmusza do merytorycznego „zajęcia stanowiska“ względem niego, lecz może być również pominięte z historycznego punktu widzenia, gdyż nie zadecydowało samodzielnie (na wzór wpływu „Trylogii“) w zakresie sfornowania się demokracji polskiej) o żadnych przemianach rzeczywistości: jakże bezsilnym okazał się jej głos w sprawie żydowskiej! Nawet w zakresie emancypacji kobiet, Waclawy i Marty podążyły szybciej i radykalniej swoją drogą niż to im doradzała i przewidywała Orzeszkowa. Nie będziemy też z okazji jubileuszu poruszać jej biografii, ani tego, o ile jej osobiste życie odpowiadało utrwalonemu w legendzie obliczu cnotliwej nauczycielki narodu — różnie o tym mówią ludzie, a nawet w podręczniku szkolnym J. Kleinera i towarzyszy przebiega się rewizjonistyczna tendencja w sprawie jej stosunku do pierwszego męża, znanego dotychczas w jednostronnym oświeceniu władającej piórem małżonki. I bez tego będziemy mieli dość materiału do rewizji, jeśli ograniczymy się do artystycznego aspektu jej puścizny, jedynie dziś aktualnego, niezależnego od zmian rzeczywistości i koniunktury politycznej, bardzo złożonego, nie łatwo dającego się ocenić w jednym zdaniu wartościującego sądu.

Trzeba wziąć pod uwagę rozległość jej dzieła i rozległość w czasie jego powstawania. Kiedy jej towarzysze byli dopiero autorami

garści nowel, a najwyżej paru krótkich powieści i przystępowali dopiero do wydawania tych utworów, które miały zapewnić im trwały rozgłos — zaczynało wychodzić zbiorowe wydanie jej dzieł w 47 tomach (1884—1889, u Lewentala). Nic więc dziwnego, że mamy tu rzeczy mierne obok świetnych i że przeważa w nich archaiczna technika, na której wprawiła sobie rękę wiele pisząca debiutantka. We wspomnianym właśnie wydaniu przeczytałem niedawno „Pamiętnik Waclawy“. Aż zabawne, jak to pisane, ba, wykaligrafowane według wzorków romantycznych! Można to przyjąć jako wskazówkę do rewizji przyjętego podziału historii literatury na okresy „romantyczny“ i „pozytywistyczny“ z granicą w powstaniu styczniowym: „pozytywizm“ w momencie, gdy jest ruchem bojowym, gdy walczy, współcześnie z publikacją „Pamiętnika Waclawy“ (1867, osobno 1871), nie jest prądem literackim, nie posiada własnego wyrazu artystycznego; arcydzieła naszej trójcy są wszystkie późniejsze, przypadają dopiero na dziewięćdziesiąt lat ub. w., a ideologicznie biorąc, są w wysokim stopniu reakcją antypozytywistyczną.

Orzeszkowa jako artystka wychodzi z romantyzmu (i, antycypując, można dodać, wraca do romantyzmu na schyłku życia, ideologicznie i artystycznie, wydając „Gloria victis“!). Jest dość rzadkim przykładem w literaturze europejskiej tych pisarzy, którzy dzięki swej długotrwałej działalności byli realnym pomostem łączącym epokę romantyzmu z neoromantyzmem, „modernizmem“ czy symbolizmem. Był nim Ibsen: i jak on, zanim zatoczył krąg swej działalności, stał się w jej środku czołowym dramaturgiem naturalizmu europejskiego, tak i Orzeszkowa, u szczytu swej dojrzałości twórczej dała jedną właściwie powieść polską, stanowiącą godny i stylowy odpowiednik wielkiej powieści rosyjskiej i naturalizmu francuskiego.

Ale „Cham“ powstanie dopiero dwadzieścia lat później; tymczasem młoda Eliza kaligrafuje; jej troska o styl ukazuje w niej poetkę w węższym sensie słowa, zapowiada poprzedniczkę Żeromskiego (a o tym związku genetycznym nigdy nie przypomniano dostatecznie). Również w wzorki, według których kaligrafuje swe zaokrąglone okresy, anaforyczne ustępy, nawroty motywów, powtórzenia liryczne w rodzaju refrenów, charakterystyczne dla poezji stylizowanej i kompozycyjne chwytły, są typowo romantyczne, w powieści realistycznej mniej stosowne. W charakterystykach postaci działających wielką rolę powierza ich „gestowi słownemu“ (wszystkie „kwestie“ panny Rozalii, ubogiej a zawistnej kuzynki, spod miodu słów wysuwającej zjadliwe żądło, posiadają jednakową budowę pod względem logicznym i składniowym, z powracającymi stale zwrotami, zastępując tym jakby, *mutatis mutandis*, ośmieszono uwagi autorskie w rodzaju „zbrodniarz z piękielnym uśmiechem na wykrzywionych namiętnością ustach“ itp.). Dotknęliśmy w tej chwili formalnej strony charakterystyk, przypominającej tyrady bohaterów tragedii Wiktora Hugo i maskę, gwałtem a na zawsze odbita na twarzy nieszczęśliwego „l'homme qui rit“. Jeśli chodzi o realną treść tych charakterystyk, to znajdujemy się w kręgu „realizmu“ romantycznego: czarnych charakterów, tak czarnych, że aż mapełnia to smutkiem i obrzydzeniem do życia tych właśnie, którzy noszą te maski, z zawiścią społeczną Stendhala i uczuciowym apercywowaniem potęgi pieniądza wraz z jednoczesnym snobowaniem się na arystokratyzm Balzaca. A może te wszystkie analogie literackie należy skupić, z dodatkiem sprawy kobiecej, w jedną rewolucyjno-salonowo-kobiecą syntezę i zastąpić wpływem pani George Sand? Technika Orzeszkowej wydaje się na ogół archaiczna nie tylko z naszego punktu widzenia, ale nawet w porównaniu ze współczesnym powieściopisarstwem polskim Jeża czy Kraszewskiego; w jej świetle uwydatnia się nowatorstwo Sienkiewicza.

Poruszyliśmy tyle spraw z zakresu genetyki i poetyki historycznej, a nie przeszliśmy jeszcze do tego, co stanowi trwałą artystyczną puściznę Orzeszkowej. I tu również uderza niewyżycie się spadku romantyzmu; a nawet wśród jej zalet — niektóre wy tłumaczyć można praktyką poezji w ściślejszym znaczeniu słowa, ponieważ brak ich najczęściej w utworach typowych dla powieściopisarstwa realistycznego.

Nie reprezentuje go na pewno pierwsze chronologiczne arcydzieło Orzeszkowej: „Meir Ezofowicz“ (1878). Ile razy go czytałem — po raz pierwszy w dziewiątym roku życia — sprawiał na mnie wrażenie bajki o czarowanym, niedostępnym ludzkiemu wejściu, nierzeczywistym świecie. Dziś, jak mi się zdaje, wiem gdzie szuka przyczyny tego wrażenia: nie tyle w egzotykcji (istotnej zresztą) ła, ile w ukształtowaniu formalnym. Jeśli jest jakiś obszerny utwór prozy narracyj-

nej, który można nazwać z całym przekonaniem (nie jak Gogol „Martwe dusze“) „poematem“ — to jest nim „Meir Ezofowicz“. Nie dla pewnej domieszki „poetyczności“, jaką zawiera — tego u nas w Polsce, niestety, nigdy nie brak w powieściopisarstwie, ale dla bardziej istotnych, świadomie użytych przez autorkę, chwytów artystycznych. Nie miejsce tu na szczegółową ich analizę, zwłaszcza budowy, kompozycji i charakterologii. Zwróćmy tylko uwagę na właściwości najbardziej zewnętrznej, więc najbardziej rzucającej się w oczy warstwy — „szaty językowej“: całe ustępy są pisane „prozą rytmiczną“; ale mniejsza i o to; subtelniejszym i z większą jeszcze konsekwencją użytym chwytym jest przestylizowanie całego języka; nie tylko w dialogach i monologach wewnętrznych działających postaci, i to ponad potrzebę „charakterystyki językowej“, ale i w języku autora, w samej narracji, tu i ówdzie jest to widoczne. Epos zamkniętego środowiska żydowskiego napisany jest „po żydowsku“, tj. językiem polskim odpowiednio przestylizowanym za pomocą wzorowania się to na języku Biblii, to na dochodzących do świadomości polskiego czytelnika echach Talmudu, to wprost na „złączeniu“ litwackim, oczywiście i umiejętnie wypranym ze zwykle wyszukiwanych elementów komizmu; zachowuje się tu jedynie swoisty rytm czy raczej melodykę tej mowy.

W szeregu innych powieści i nowel Orzeszkowej, choć nie pretendujących do tytułu „poematu“ (mimo buchającego z nich liryzmu, np. z tegoż cyklu żydowskiego „Silny Samson“ i „Gedali“, ale to inna sprawa), należy do niewielu tylko utworom narracyjnym prozą w naszej literaturze, na przestrzeni od „Zemsty panny Urszuli“ Dominika Magnuszewskiego po „Zazdrość i medycynę“ Michała Choromańskiego — operuje Orzeszkowa romantycznymi chwytami kompozycyjnymi i stylizacyjnymi, których właściwym miejscem zastosowania jest raczej „poezja“ w węższym sensie, a które w powieści realistycznej, gdzie walory formalne powinny być jak najdyskretniej ukryte, a w każdym razie nie wysuwane na plan pierwszy, są mniej stosowne. Niezauważalność ekspresji, język jak najbardziej potoczny, w roli wyłącznie komunikatywnej, unikanie schematyzmu w budowie obrazu życia, zawsze pełnego niespodzianek, nie układającego się w żadne sztywne schematy — oto powszechnie odczuwane i łatwo dające się rozumowo uzasadnić postulaty poetyki normalnej w zakresie realizmu powieściowego, dostarczającego rozkoszy odnajdywania w słowie nieustannie odpływającego w przeszłość świata.

Schematyzm budowy rzucą się w oczy przy lekturze powieści Orzeszkowej, zwłaszcza w jej późniejszej, schyłkowej dobie twórczości. Np. stałe powtarzający się paralelizm czy kontrastowanie dodatkich postaci, poświecających życie wypełnianiu obowiązku twardej pracy na rodzinnym gruncie, z istotami w ten czy inny sposób wyrwanymi z ziemi, schemat przejęty i ostatecznie zbanalizowany przez Rodziewiczównę, uwidacznia wprawdzie moralną czy tendencję utworu, nie powiększa jednak na pewno jego wartości „estetycznej“. Ale nie zawsze jawnie występujące walory formalne są czynnikiem ujemnym w ogólnym wrażeniu, wywieranym przez ten czy inny sposób wyrwanymi z ziemi, schemat przejęty i ostatecznie zbanalizowany przez Rodziewiczównę, uwidacznia wprawdzie moralną czy tendencję utworu, nie powiększa jednak na pewno jego wartości „estetycznej“. Ale nie zawsze jawnie występujące walory formalne są czynnikiem ujemnym w ogólnym wrażeniu, wywieranym przez ten czy inny sposób wyrwanymi z ziemi, schemat przejęty i ostatecznie zbanalizowany przez Rodziewiczównę, uwidacznia wprawdzie moralną czy tendencję utworu, nie powiększa jednak na pewno jego wartości „estetycznej“. Ale nie zawsze jawnie występujące walory formalne są czynnikiem ujemnym w ogólnym wrażeniu, wywieranym przez ten czy inny sposób wyrwanymi z ziemi, schemat przejęty i ostatecznie zbanalizowany przez Rodziewiczównę, uwidacznia wprawdzie moralną czy tendencję utworu, nie powiększa jednak na pewno jego wartości „estetycznej“.

Język własny Orzeszkowej jest bardzo archaiczną i sztucznie wytworną polszczyzną literacką, pozbawioną łatwości, naturalności i prostoty (u każdego z nich innej) jej kolegów po piórze; pisała nim aż do śmierci, mimo że naokoło mówiono zupełnie inaczej; nawet „Cham“, jej arcydzieło najbardziej nowoczesne, awangardowe w chwili powstawania jako zamysł, jako śmiała koncepcja psychologa i moralisty, pisany jest nie inaczej; spostrzegłem to, czytając go, zdanie po zdaniu, jako arcydzieło godne sprezentowania obcokrajowcom, z mymi słuchaczami w Brukseli: dla przekładu trzeba było co krok zmieniać łańcuch szyk słów, naprawiać inwersje, rozważać peryfrazę. Ale właśnie w ustępach poetyckich wysokiej klasy, których tyle u niej znajdujemy, język Orzeszkowej wyżywa się swej sztywności i przyrodzoną dostojnością dopasowuje się doskonale do kunsztownego wyrazu wzniosłej myśli, patetycznych uczuć, czy do odmalowania lirycznego krajobrazu.

Staranna, czasem nazbyt schematyczna kompozycja ma przynajmniej tę dobrą stronę, że wśród dzieł Orzeszkowej nie znajdujemy takich potworności kompozycyjnych jak

„Emancypantki“ czy „Lalka“. Czasem nawet przesada schematyzmu, dochodząca do abstrakcyjnego prawie ujęcia rzeczywistości, oddaje dobre usługi — jeśli nie powieściopisarce, to moralistce. Tak np. „A...B...C...“, pierwsza z trzech godnych uwagi nowel (w Bibliotece Dzieł Wyborowych), przedstawiająca prześladowanie „tajnego nauczania“ i dlatego ze względów cenzuralnych przenoszona, bardzo niezgrabnie zresztą, akcją z „Ongrodu“ (zwykły anagram Grodna) do „wielkiego miasta wielkich Niemiec“, tyle co najmniej jękuje pod względem generalizacji tematu, ile traci pod względem barwności przedstawienia środowiska. Ze sprawy dziewczyny, ukaranej za nauczanie polskiego elementarza, czy nawet z hołdu dla tych skromnych na pół świadomych „siłaczek“ kultury polskiej, otoczonych czcią ludu, któremu służą, nowela, — w swym prawie nagim schematyzmie, pominiętym sam problem, — staje się terenem unaocznienia przeciwstawności praw państwa czy zbiorowości — prawu jednostki do czynienia dobrze. Jest to problem na miarę i w stylu Tołstoja, który również, przy całej epickości swego geniuszu, nie unika schematyzacji i planowego operowania wątkami treści i ich kontrastami dla propagandy swych idei moralnych.

Zupełnie tołstojowską satyrą na dobroczynność kaprysu rozpróżnianych bogaczy i przeciwstawieniem jej prostej, nieświadomej własnej ceny dobroci biednych, jest ostatnia z trzech nowel „Dobra pani“: jest to szczyt planowego operowania składnikami treści, rytmiczną wątków podanych kolejno w identycznej, z małymi odmianami, szacie słownej. Prawie dokładnie ta sama historia kolejnych faworytów poszukującej ujęcia dla dobroci swego serca pani — szlachciancezki z zaścianka, pieska pokojowego, małej sierotki, papugi; łańcuch urywa się na Włochu-wirtuozie, którego panowanie w sercu „dobrej pani“ jest równoczesne z tragicznym zamknięciem dziejów rozpierzchniętej i odrzuconej z powrotem w nędzę dziewczynki.

Nie tak schematyczna w budowie, realistyczna w przedstawieniu ła — wieczornicy w chacie białoruskiej, choć obramiona poetyckimi obrazami ciemnej zimowej nocy, gdy człowiek w mroku wydaje się jak „nieskończona małość“, płynąca po morzu „nieskończonych wielkości“ — jest nowela „W zimowy wieczór“. Jesteśmy tu w kręgu zagadnień moralnych i społecznych godnych Tołstoja i zawsze dlań aktualnych: zbrodniarz poszukujący chwilowego spoczynku w ucieczce pod strzechą statecznego gospodarza, rozważającego, ożywione tą okolicznością, wspomnienia swego stosunku do syna, pchniętego na drogę występuku przez pobyt w więzieniu za błąhe przewinienie; skonstruowanie uświadamiającej się w sumieniu despotycznego ojca winy wobec syna, z bezlitosnym, praktycznie utylitarnym traktowaniem wyrzutka społeczeństwa przez ogół. Ledwie dyskretnie autorka pozwala się domyślać w przypadkowym spotkaniu konfrontacji ojca i syna, despotycznej normy społecznej i jej zbrodniczej ofiary.

Nie bezpodstawnie łączymy te nowele, ujęte zresztą przez samą autorkę w całość książkową, z atmosferą zagadnień moralnych, jak powiedzieliśmy, na miarę i w stylu wielkiego mistrza realizmu rosyjskiego, nie rezygnującego z „przeklętych zagadnień“. Wydane na krótko przed „Chamem“, powstały one, jakby na marginesie, w czasie pracy nad utworem, w którym Orzeszkowa umiała wykażać swe podwójne oblicze: obserwatorki świata i natury ludzkiej, a zarazem moralistki o wszechludzkich zainteresowaniach, poszukującej rozwiązania najwazniejszych kwestyj na ścieżkach bardzo dalekich od toru, na który wyszła z pensji Paniem Sakramentek. Zestawienie przyziemnego, realnego aspektu miłości płciowej z ewangelicznym stosunkiem cnotliwego prostaka do ladacznicy, przeprowadzone jest w książce z mistrzostwem, które stawia tę powieść w rzędzie klejnotów literatury powszechnej XIX w. i legitymuje powieściopisarstwo polskie wobec Europy.

Autorka takiego dzieła, którego znaczenia nawet szkicowo tu nie zamierzam przedstawić, jednocześnie epigonka romantyzmu i prekursorka „powieści prozą poetycką“, a przynajmniej „powieści lirycznej“ Żeromskiego, moralistka, wnosząca się sporadycznie — ponad dydaktyzm praktycznych przepisów postępowania w życiu codziennym — w regiony najwznioślejszych zagadnień, uśmiejąca wychodzić poza ciasne przegródki narodowościowe i kastowe, idealizująca sztuką uwieczniająca rzeczywistość małomiasteczkowego ghetta i wsi białoruskiej, a zarazem gorąca patriotka, tradycjonalistka, poetka mogłaby powstańczej — oto wielka osobowość literacka, poszukująca nowej i dokładniejszej syntezy.

K. W. Zawodziński

* Por. nr 33 (90) „Odrodzenia“.

TADEUSZ HOŁUJ

Rozejm Jana Mosdorfa

Nie, nie łatwo jest modlić się rano, kiedy ochryple wrzaski chorych otaczają człowieka, dopadają go spokojnie żującego kawałek chleba; kiedy brząsk poranka wydobywa z piętrowych kolumnad łózek obrzękłe, napuchnięte twarze i sine szczapy rąk ujmujące w ciciwym uścisku palców czerwone miski brudnozielonej cieczy.

Pierwszy zrywał się do modlitwy Felek. Biegł przez salę ku białemu biurku Blockschreiebera, zatapiał bladą twarz w dłońach trwając tak aż do gongu na wymarsz, nieczuły na wszystko, co nie działo się w nim samym. Niepojęty, straszliwy Bóg tkwił w umęczonym, żywym jeszcze sercu, mimo tryumfu zła i niesposób było dojrzeć przyczyn zapomnienia przez Boga o litości i miłosierdziu. Oto wstawał jeszcze jeden dzień, który trzeba było przeżyć, dzień długi i pełen śmierci. Czy będzie starszy o ten dzień? O tym dowiaduje się w codziennej modlitwie, twierdząc, iż Bóg sam mówi mu, że przeżyje, że Bóg sam da mu znak, kiedy trzeba będzie wymaszerować do Birkenau lub na blok 11. Z tego przekonania i wiary w znak niebios płynęła ufność i pogoda nawet w tak tragicznych chwilach, kiedy trzeba było oschłym głosem wywoływać nazwiska z długiej listy, nazwiska ludzi, których już zapisano na dole, w Schreiebestubie, na listy Sonderbehandlung. Och, jakże klócili się jeszcze między sobą ci, oficjalnie już nie żyjący, o zlaną blaszaną łyżkę, skibkę chleba, i jak cierpliwie trzeba im było tłumaczyć, że idą na blok wycieczkowy, na którym otrzymają pod dostatkiem jedzenia, nową bieliznę i nawet łyżki. Szły tam setki za setkami, lub odchodziły na sąsiedni blok 20, gdzie gorliwy Polak-więzień zabijał zastrykiem fenolu, chwalać się potem, iż miał dzień wyjątkowo „dobry”. Cóż — zabił, według własnych słów, 12.000 ludzi.

Drewniane sandały Felka tupotały po kamiennej posadzce sali przedziutko, głos jego rozlegał się donośnie budząc śpiącą właśnie nocną zmianę.

Nie, nie łatwo jest wysłać ludzi na śmierć, na gaz, malować chemicznym ołówkiem na żółtej skórce starców i młodzianków wielkie, widoczne numery, jak to zwykle czyniono już zmarłym, zanim ściągnięto ich szciami do kostnicy, nie łatwo jest odejmować zbyteczne już protezy, zdzierać cuchnącą ropą papierowe spowicie bandaży, ustawić i przeliczać, przeliczać i sprawdzać jak martwe przedmioty. Każda omyłka kosztuje bowiem jeszcze jedno życie. Życie? Felek uśmiechnął się. Tysiące defilowały już po tej zimnej poposadzce sali chorych nie dopuszczając do siebie myśli, że to ich ostatnie kroki.

— Co się martwisz, toć to same Żydy — powiedział niski, krepły szubowoy, krajaj margarynę na jak najmniejsze porcje. Oni i tak już nie potrzebują, a po co dawać takim chorym, którzy i tak pójdą na gaz, lepiej zjeść samemu — głosił otwarcie. — Ej, panie szubowoy, panie szubowoy, dałby pan im jeszcze pojeść sobie — próbował oponować Kamioner, polsko-francuski Żyd, fryzjer blokowy, goliąc później szubowoygo i nacierając mu twarz zdobytą gdzieś wodą kolońską. — Kamioner, ty też pójdiesz do Abrahama, cholero jedna — śmiał się szubowoy.

Kamioner zamyślił się i zamilkł. Mydlana piana ociekała z tęgiej gęby szubowoygo, padając na czysciutki pasiak. Ciężki to dzień był dla Kamionera. No cóż, zabrali mu dwóch krewnych i jedenastu znajomych, których musiał jeszcze przed wywiezieniem ogolić. Nie miał na to sił. — Za miękko mam jeszcze serce — mówił, przepłacając kilku łzej chorych, aby spełnili za niego ten obowiązek.

Następny golił się Felek. — Pan mądrzejszy niż oni — żalił się fryzjer — to niech pan sam powie, jaka to sprawiedliwość, chyba Boga nie ma, że nie ulituje się nad nami. Albo, jeśli jest, to musi być bardzo zły, ten Bóg — myślę. A pan codziennie modli się, jakże, jak pan sądzi?

— A, Kamioner, Kamioner, co ty wiesz o Bogu. Wy Żydzi ukrzyżowaliście Chrystusa i dlatego przekleństwo na was ciąży, mój Ka-

mionerku, wieczne. To pokuta za „tamto” — odpowiadał spokojnie i poważnie Felek. Kamioner zachnął się. — Ja prosty Żyd, pan zaś mecenas, uniwersytet pan skończył i tak brzydko pan mówi. Przecież to nieprawda... Chciał powiedzieć jeszcze ostrzej, ale uląkł się, nie chciał się narażać. Westchnął tylko i już śmiejąc się opowiadał jakąś francuską anegdotkę. Kamioner był filozofem. Urodzony w Polsce, wychowany we Francji, ogarniał jasnym, przenikliwym umysłem całą potworność sytuacji, w której część więźniów usprawiedliwiała niszczenie Żydów w obozie, a nawet cieszyła się, że „Hitler wykona tę nieprzyjemną robotę”. Za nich oczywiście. Próbował niekiedy tłumaczyć na swój sposób swym aryjskim klientom: — Cóż, że nas, małych Żydków, wytepią, tych wielkich, to oni nie dostaną nigdy, oni są w Anglii i w Ameryce, i oni kiedyś upomną się o nas. — Ale to brzmiało jak pogródka i dlatego unikał takich akcentów; pragnął bowiem spokojnie żyć nawet w obozie i możliwie najwygodniej oczekiwać się śmierci. Słuchał tedy cierpliwie, przysiadując nawet z uśmiechem, kiedy młodziutki pipel Adam przechwalał się głośno, jak to on pomagał zabijać Żydów, słuchał religijnych wywodów blokowego pisarza, o którego gołęmbim sercu był przekonany głęboko, zachowując dla siebie samego ostentacyjne wróżki. Żył jakoś i chociaż jemu przekonanie mówiło, że on z tego plekta nie wyjdzie, nie tracił pogody, równej Felkowey.

Jan Mosdorf leżał wówczas nad miejscem wybranym przez blokowego na fryzjerską i przysłuchiwał się, chcąc nie chcąc, wszystkim rozmówkom Kamionera. Jego jawowata, podłużna głowa zwiisała w takich chwilach zza oparcia łóżka, a broda spoczywała na dłońach. Tam też, na trzecim piętrze łóżka, odszukałem go, kiedy zapadła decyzja ustanowienia na każdym bloku męża zaufania, który, mając kontakt z członkami organizacji, wpływać miał na zlikwidowanie podsycanych ustawicznie nienawiści narodowych i rasowych, wzmacniając tym samym się oporu przeciw terrorowi niemieckiemu społeczeństwa więźniarskiego. Solidarność wszystkich więźniów wobec wspólnego wroga była dla wielu środowisk, niestety, sprawą co najmniej obojętną, jeśli już nie obcą.

Jan Mosdorf, jeden z twórców Organizacji Narodowo Radykalnej, przebywał już dłuższy czas w obozie i poznał najniższe kręgi plekta Oświęcimia. Obok niego leżał Belg, Emil Janssen, poseł socjaldemokratyczny, uczestnik walk o republikę hiszpańską, w których postradał resztki złudzeń co do faszyzmu oraz swoją „dolną szczękę”. O tę broję Jansseną toczył się namiętny bój pomiędzy SS-Lagerarzt a lekarzami polskimi, pragnącymi uchronić Belga od projektowanego eksperymentu wstawienia nowej szczęki. Emil mamrotał prawie niezrozumiale po francusku, znajdując w Mosdorfie cierpliwego słuchacza. Dyskusja ideologiczna toczyła się od tygodni. Janssen, mrużąc figlarnie oczy, tłumaczył mu: — Dyskusja dyskusja, ale jeśli wyszedłbym z obozu, nie byłoby innej drogi, gdybyśmy stanęli naprzeciw siebie, jak albo dać się zabić przez niego, albo samemu go zgładzić. — Nie wiem czy Mosdorf podzielał jego zdanie, w każdym razie nie miałem do niego takiego zaufania jak Józek Cyrankiewicz, który lepiej sobie radził z Mosdorfem. I on wiedział, że Mosdorf, z początkiem swego pobytu w Oświęcimiu, ofiarował na niemiecką Pomoc Zimową dla żołnierzy frontu wschodniego własne futro, zdeponowane w magazynie obozowym.

Odnalazłszy go na łóżku przedstawiłem wtedy całą sprawę w kilku słowach. — Wiecie dobrze, że jestem katolikiem — odparł — i jak możecie w ogóle pytać o moje stanowisko.

— Ale jako katolik głosiłicie przecież boję hasła antysemityzmu. Byłście jednym z motorów nienawiści, mówiąc bez ogródek — z waszego ducha rodziła się ideologia faszystowska.

Mosdorf popatrzył na mnie smutno i zgarbił się nagle. Nie umiałem z nim mówić. Józek ratował sytuację swym dyplomatycznym kunsztem przekonywania ludzi o nieodzowności pewnych poczynań.

— Słuchajcie — powiedział — to potworne, że nawet tu, w obozie, nie umieją niektórzy znamródzi. Przecież my możemy sprowadzić na siebie, na Polskę taką hańbę, że nie zmaże jej nic, żaden rząd. A jak łatwo będzie nas wszystkich tutaj wydusić jak ślepe kociaki, jeśli nie weźmiemy się do kupy. Cóż teraz wszystkie przedwojenne programy, nic! Tylko przeciw szwabom iść razem, oto wszystko! Spacerowaliśmy z Mosdorfem pod ramię po sali chorych.

— Moje stanowisko jest jasne, choć nie od razu przyszedłem do niego — powiedział po chwili namysłu Mosdorf — ja Żydom nie będę pomagał, bo wpierw muszę pomagać Polakom, ale nie będę im szkodził. Ja to rozumiem, rozumiem.

— A więc zawieszenie broni?!

— Tak, zawieszenie broni, a może i pokój...

Odtąd we wszystkich sprawach dotyczących solidarności więźniarskiej, a zwłaszcza antysemityzmu, zwracaliśmy się do niego. Przeniesiony na inny blok nie tracił z nami kontaktu, przeciwnie, był jednym z tych nielicznych sprawiedliwych, którzy nie zrezygnowali z człowieczeństwa na korzyść przetrwania. On, katolik głęboko wierzący i były ONRowiec, pochylał się nad tą samą przepaścią, co ateusze i komuniści, dostrzegając w niej tego samego, wołającego ratunku człowieka. Ratunku nie tylko przed wrogami zewnątrz, ale i przed sobą samym.

Doktor D. nie dał się tak szybko przekonać o potrzebie zawieszenia broni w sprawie żydowskiej, mimo iż jej tragiczne powikłania obserwował lepiej od Mosdorfa, będąc lekarzem, a więc człowiekiem choćby z racji wykonywanego zawodu stykającym się co chwila z cierpieniem ludzkim i nieszczęściem, które jest ponad rasę, naród i wyznanie. Nienawidził Żydów żywiołowo i — jak mawialiśmy — „czynnie”, przyczyniając się do ich zniszczenia, nienawidził również niemieckich współtowarzyszy, nie lubił Czechów, gardził Francuzami, nie ufał Austriakom.

Nawrócenie Mosdorfa było dla nas wszystkich wielką radością, gdyż Mosdorf był kimś więcej aniżeli tylko więźniem politycznym numer ten a ten, był reprezentantem poważnego odłamu społeczeństwa polskiego, przedstawicielem pewnej ideologii i pewnego środowiska politycznego. Jego postępowanie mogło być świadectwem i przykładem. To samo odnosiło się i do doktora D., wyższego oficera polskiego. To, co on czynił, spadało na karb całego jego środowiska. Tym argumentem operując udało się zdobyć jego oświadczenie, że zaniecha wszelkich antysemitycznych wystąpień w obozie, że opanuje się.

Mosdorf cieszył się bodajże najwięcej, kiedy zakomunikowaliśmy mu o tym. Było lato. Strach w naszych oczach pojawiał się coraz częściej, na sali zjawiał się prawie co tydzień blady, szczupły SS-Lagerarzt Enterss i nerwowymi, kościstymi palcami segregował karty chorych, przyjmując ich przeraźliwą defiladę. Szkielety ludzkie przeżyły się przed nim, stawali pewne kroki i wypuklały klatki piersiowe ściągnięciem ramion do tyłu, patrząc z niepokojem w jego zimne, stalowe oczy. Chcieli wyglądać zdrowo w czasie przeglądu. Układały się bezlitośnie dwa stopy kart. Na gaz i do łóżek. Na gaz i do łóżek. Chorzy wiedzieli, o co chodzi w tym przeglądzie, myśli się uprzednio gorączkowo, nacierali policzki i prosili, by im opatrzyć jeszcze raz ropiejące rany. Karty gorączkowe fałszowano pospiesznie, wpisując fałszywe, lżejsze diagnozy, lub zakładając nowe na miejsce tych, na których napisano: status gravis. Defilada trwała godzinę. Ciężko chorych przenoszono na noszach, o nich wszyscy wiedzieli, iż nic i nikt ich nie uratuje. Bezprytomni patrzyli na rozdającego śmierć; nie należeli już do żyjących.

SS-mani odeszli do następnego bloku zabierając z sobą karty wyznaczonych na gaz. Chorzy niespokojnie kręcili się po sali, nie wiedząc, kto z nich przeznaczony został na śmierć. Ich trwożliwe, białe spojrzenia spoczywały na nas, śledziły każdy nasz krok.

Po południu przyniesiono listę i sanitariusze zaczęli wywoływać nazwiska skażonych, zdejmując z nich opatrunki i ubierając w stare pasiaki. Silniejsi odchodzili sami, słabszych noszono na długie korytarze bloku, gdzie czekać mieli na samochody. Między nimi znalazł się młody, rosy chłopak, który prócz, zaleczonej zresztą, maleńkiej ranki był zupełnie zdrowy i pełnił pomocnicze funkcje na sali. Nie rozumiał początkowo. Dopiero, kiedy dano mu do ręki kartę i sprawdzono numer, wybuchnął nieludzkim krzykiem.

— Przecież ja jestem całkiem zdrowy, całkiem zdrowy, silny. Mogę iść do najcięższej pracy. Ratujcie mnie. To chyba omyłka!!

Tak, to była omyłka Lagerarza, który położył jego kartę na stos przeznaczonych do Sonderbehandlung. Interwieniowaliśmy w Schreiebestubie, ale nie dało się nic zrobić, nawet zamienił go na ciężę chorego, jak proponowali niektórzy. Spis był oddany już Lagerarzowi. Enterss, wysłuchawszy interwencji, pokiwał zniechęcony głową. Nie.

Mosdorf stał na korytarzu patrząc szeroko

otwartymi oczyma na spokojnie stojący dwuszerzeg i na miotającego się w rozpaczy nieszczęśliwca. Podszedł do niego niespodzianie i kładąc mu dłoń na ramiona powiedział coś, czego nie słyszałem. Chłopak uspokoił się, wybuchając cichym, dziecinny prawie płaczem, co śmieszyło kilku sanitariuszy do tego stopnia, że chichotali głośno w drzwiach bloku. Mosdorf, nie patrząc na nas, wybiegł przed blok, gdzie stał właśnie Lagerarzt. Widziałem jak przedkładał mu coś, pokazując ręką na blok. Wrócił przygnębiony.

Żydzi, nie mogąc już ustać, posiadali na podłodze. Jakiś stary Żyd powtarzał monotonnie po francusku:

— Ja nie mogę umrzeć, ja nie chcę umrzeć, ja chcę żyć, ja muszę żyć...

Jego sąsiad, pokryty żółtą skórą, opinając ostro rysujące się kości, uspokajał łagodnie.

— Nie nażyłeś się jeszcze, jeszcze nie? Ja jestem młodszy od ciebie, Samuel, o trzy lata, o trzy lata, a nie żal mi. Mają zakopać, zakatować, to lepiej tak, Samuel, lepiej tak, bo to nie boli...

— O czym oni mówią, o jakiej śmierci — dopytywał się inny, młodziutki chłopak ze zlaną ręką — przecież jedziemy do Birkenau tylko na odpoczynek, prawda, panie blokowy?!

Skazany przez omyłkę na śmierć dostał ataku szału. Rwał na sobie ubranie, aż stanął półnagi, pręjąc tors i muskularnymi ramionami odpychając towarzyszy. Z zacisniętej krtani wydobywał się chrapliwy krzyk, przechodzący w rżenie.

Mosdorf przesuwając dłońmi po spoconym czole. Stał jednak do końca, pomagał chorym układać się na posadzce i trzeźwił wodą szalejącego młodzieńca. Czy i on zapytywał siebie w tej chwili o to samo? O to, co czują ci, którzy idą na śmierć i ci, co znajdują się przy nich jako bezsilni świadkowie? Większość skazanych stała spokojnie, pełna rezygnacji. Dla nich zatraciła się dawno granica między życiem i śmiercią, nie mogli nazywać życiem swej katorgi, ani śmiercią wyzwolenia z niej. Kilku prosiło o papier i ołówek pisząc ostatnie listy do znajomych w obozie, przekazując im swój dobytek, okruchy chleba, dobrą jeszcze koszulę, lub prosząc o zawiadomienie rodziny znajdującej się jeszcze na wolności.

Buntowali się tylko nieliczni, nie mogący się pogodzić z myślą, że za godzinę będzie z nich tylko garstka popiołu.

Na otoczeniu zachowanie ich nie robiło szczególnego wrażenia. Do śmierci byli wszyscy tak przyzwyczajeni, tak znudzeni na ludzkie cierpienie, że wszystkie czynności związane z transportem do Birkenau spełniali mechanicznie, oczywiście w miarę możliwości wysługując się jeszcze mniej czułymi ludźmi. Bądź co bądź — przykry widok — krzywił się.

Kiedy przyszły samochody, wepchnięto na nie trzydziestu nieszczęśliwych, ugniatając ich brutalnie, by więcej weszło. Mosdorf odwrócił twarz, przez którą przebiegały falałmi skurcze mięśni, robiło mu się niedobrze, gdy podawał dłoń maszerującemu spiesznie przez korytarz, aby wstąpić na deskę łączącą schody z pomostem auta.

Wiele spraw załatwiliśmy odtąd wspólnie drepząc wokół własnej i cudzej śmierci.

Na jego przedstawienie z „czerwonymi“ zwrócono rychło uwagę. Kiedy wskutek denuncjacji zamknięto kilku wybitnych działaczy obozowych, Zenek L. tryumfował wraz ze szpiclem-blokowym, prosząc go, by podał na Oddział Polityczny numer „Mosdorfa. On za Żydami obstaje i z komunistami trzyma — mówił. Donieśliśmy o tym Mosdorfowi, ale ten uśmiechnął się tylko gorzko. Fatalne zachowanie — powiedział posepnie, przypominając sobie, że denuncjator należał do ONR.

W kilka dni później wzięto Mosdorfa na przesłuchanie w związku z nowymi aresztowaniami w obozie i już go nie wypuszczono. Widziałem go, jak przechodził w grupie aresztowanych przed oknami bloku, szukając wzrokiem naszych twarzy. Był bardzo blady, w oczach miał strach. Rozstrzelano go.

Fryzjer Kamioner widział z okien jak okrwawionego, nagiego trupa wrzucaną tragarze na pełne już auto. Niech Bóg o nim pamięta — powiedział z przejęciem, choć sam nie był wierzący.

Tadeusz Hołuj

W poprzednim 34 (91) numerze „Odrodzenia“ z dnia 25 sierpnia 1946 r.: Mieczysław Jastrun: Nowe wierze: Ziemia zatopiona. Równoczesność. W pamięci. Uśmiech. Wyznanie. — Franciszek Gil: Powrót z Kielec. — Stanisław Wygodzki: List w noc. — Maria Jarochońska: O Warniob, o Warniob. — Piotr Borowy: Powrót z wojny: ***. W odwrocie. ***. Po wojnie. Patrząc z całego. Słowo ostatnie. — Ila Erenburg (przełożyła Zofia Marynowicz): W Ameryce (2). — Krystyna Kuliczowska: „Budujemy mosty dla pana starosty“ czyli o czasie smacha dla dzieci i młodzieży. — Adam Marczyński (rys.): Motyw z Wrocławia. — W dziesiątą rocznicę śmierci Maksyma Gorkiego. — Zbigniew Bieńkowski: Dzień powszedni procesu w Norymberdze. — Korespondencja (Marek Bosak, Olga Ziemińska, Wilhelm Silberstein). — Stefan Morawski: Urząd albo zła wola Sprawa młodzieży akademickiej. — Kronika ilustrowana. — Bogusław Kuczyński: Notatki angielskie. — js: Polska współczesna: Muzea. — Kazimierz Nitsch: Ludność i język Zaozla. — Konstanty Grzybowski: Tydzień polityczny: Francja—Polska—Czechosłowacja. — Stanisław Nowaczyk: Znakomity pedagog. — Stefan Papée: Poradnik dla nauczycieli. js: Spowiednik ks. kardynała. W pracowniach pisarzy i uczonych. Ankieta „Odrodzenia“ (Jan Dąbrowski, Jan Kujewski). — Zdzisław Libera: Cena pomocy dla nauczycieli. — Artur Maria Swinarski: Błogosławieni grafomani. — 18 ilustracji. — 12 stron.

NOWE KSIĄŻKI
laureata nagrody literackiej polskiej klasy robotniczej i m. st. Warszawy na r. 1946
WŁADYSŁAW BRONIEWSKI
DRZEWO ROZPACZAJĄCE
Cena 55.- zł.
BAGNET NA BROŃ
Cena 35.- zł.

„KSIĄŻKA“

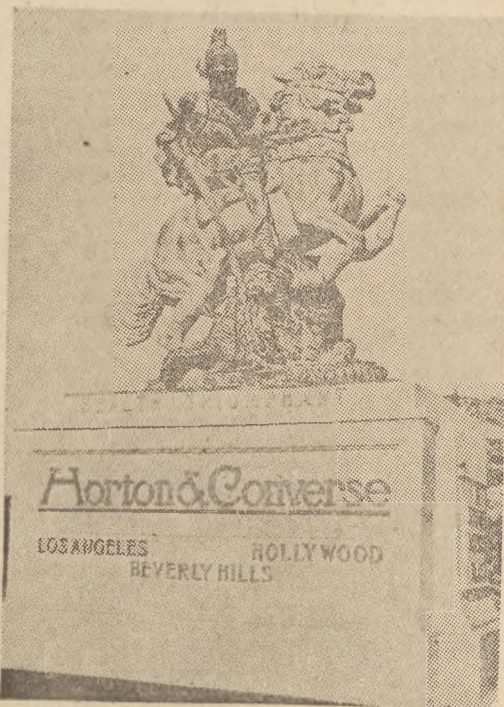
ILIA EREBURG

W Ameryce*)

przełożyła ZOFIA MARYNOWICZ

Nocą drogi Ameryki, szczególnie w pobliżu miast, rozbłyskują setkami reklam. Reklamuje się absolutnie wszystko — i napój „koka-kola”, i papierosy, i meble, i kandydata do senatu, i nawet Biblię. W okolicy dworca w Nowym Orleanie widziałem reklamy świetlne — cytaty z Pisma Świętego. Przeróżne Kościoły i sekty w obszernych ogłoszeniach reklamują swoje nabożeństwa, krasomówstwo kaznodziejów i komfort lokalu.

Kiedy się otworzy radio, słyszy się zawsze — wśród muzyki symfonicznej czy komedii ra-



Przykład reklamy amerykańskiej: „Tryumf zdrowia” — pomnik reklamujący wyroby farmaceutyczne

diowej — reklamę konserw, lekarstw czy krawatów. Przy tym reklama często apeluje do szlachetności słuchaczy: np. wezwania, by nieść pomoc zrujnowanej Europie czy poszkodowanemu rodakom, pochodzą od jubilera skupującego brylanty.

W wielu miastach amerykańskich spotykam następującą reklamę: „Pięćset milionów ludzi głoduje. Bądźcie oszczędni. Heinz — pięćdziesiąt siedem sosów”.

Mimo że zdążyłem już otrząść się z niektórymi osobliwościami tego kraju, wydawało mi się rzeczą dziwną, że o solidarności ludzkiej mówi nie państwo, ale firma wyrabiająca parówki, kiełbasę i pięćdziesiąt siedem słynnych sosów. Podzieliłem się swymi wątpliwościami z prezesem izby handlowej. Z kolei on zdziwił się, jak mogę nie rozumieć tak elementarnych rzeczy. Wyjaśnił mi: „Niech taką odezwę podpisze państwo, Amerykanie nie uwierzą jej, ale Heinzowi wierzą wszyscy, bo to solidna firma”.

Prasa, radio i kino znajdują się w rękach różnych solidnych i niesolidnych firm. Redaktor dużego prowincjonalnego dziennika westchnawszy powiedział mi: „Nasz niezależny organ w zupełności zależy od ogłoszeń. Gdybyśmy zostali bez ogłoszeń, nie przetrwalibyśmy ani tygodnia”. Rozgłoszenie należy do prywatnych firm i mogą istnieć tylko dzięki ogłoszeniom.

Wiele lat temu napisałem książkę o kinie „Fabryka snów”. Z pragnienia Amerykanina. Żeby wieczorem trochę zapomnieć, zabawić się i pomarzyć — zrodził się olbrzymi przemysł i w Hollywood fabrykuje się masowe sny równie umiejętnie i szybko, jak konserwy mięsne w Chicago. Jednakże fabryka snów jest bardziej niebezpieczna niż fabryka „tuszonki”; producenci filmowi organizują życie wewnętrzne przeciętnego Amerykanina, opowiadając jego myśli i uczucia wszczepiają mu podręczną moralność. Producenci ci mogą rywalizować wzajemnie przeciągając na swoją stronę reżyserów i aktorki, jednakże mimo to podlegają swojej własnej cenzurze, tzw. „organizacji Haysa”, która bez litości usuwa wszystko, co mogłoby tracić wolnościowość Hollywood w oczach kwakierów i władców niewolników, to niebezpieczna jaskinia. I rzeczywistość sztuka ma za swoje, w Hollywood pracują dziesiątki odważnych, utalentowanych ludzi, ale są oni otoczeni jakby murem: Chaplin na własnej skórze przekonał się, co to znaczy wystąpić przeciw potęgę pieniądza.

Przeciętny Amerykanin, przekonany o swej niezależności duchowej, najbardziej obawia się propagandy. W istocie powtarza on to, co przeczytał w gazecie, usłyszał w radio czy zobaczył na ekranie.

Spotykałem się często z przedstawicielami Prasy, redaktorami, wydawcami, dziennikarzami, widziałem redakcje wielkich gazet i przekonałem się, jak się tu urabia opinię publiczną. To robota poważna, skoncentrowana w rękach ogromnych trustów.

W jaki sposób urabia się opinię publiczną? Nie przy pomocy artykułów — mało kto je

przecież czyta i czytelnicy są nieufni. Większość gazet występowała przeciw Rooseveltowi, a jednak czytelnicy woleli Roosevelta niż Deweya. Działalność prezydenta każdy miał przed oczyma, każdy Amerykanin był kompetentnym sędzią; tym bardziej, że Roosevelt i jego współpracownicy brali udział w tysiącach zebrań, obalając oszczerstwa tej czy innej gazety. Kiedy mówiłem moim amerykańskim przyjaciołom, że prasa zatruwa czytelników, zwykle odpowiadali: „Pan wyolbrzymia znaczenie gazet, my nie poddajemy się propagandzie, umiemy myśleć samodzielnie”.

Jednakże, żeby myśleć — samodzielnie czy niesamodzielnie — trzeba znać to, o czym się myśli. Przeciętny Amerykanin znał politykę Roosevelta, ale skądże może wiedzieć, co się dzieje w Iranie, w Niemczech, czy w Bułgarii? On myśli „samodzielnie” o tych wymysłach, które mu podała do wiadomości pierwsza strona gazety. Będąc niegłupim i chcąc być niezależnym, zadaje sobie pytanie, czy dobrze, czy źle robią Rosjanie rzucając swoje tanki na Teheran, czy Bułgarzy mają rację, czy jej nie mają, że usiłują utrzymać greckie Rodopy; on nie zna danych do tej sprawy, którą usiłuje rozwikłać — i nawet nie podejrzewa, że tanki radzieckie nigdy nie szły na Teheran i że w bułgarskich Rodopach nie ma ani jednego Greka.

Gazety wielkich trustów, czy pojedynczych magnatów drukowanego słowa, pod pozorem informacji uprawiają dezinformację. — Ci panowie są cwani i udają obiektywnych: na dziesiątek artykułów antysowieckich, dowodzących, że kraj nasz chce jakoby pokonać cały świat aż po Guatemalę i Honduras, obowiązkowo umieszcza się artykuł wychwalający pracę sowieckiego botanika czy mistrzostwo sowieckich sportowców. Wiele gazet drukujących cudaczne bzdury o naszym kraju prosiło, bym napisał cokolwiek dla nich. Czytelnik, zbity z tropu, powtarza: „Mówcie co chcecie, ale nasza prasa jest najbardziej obiektywna w całym świecie”.

Francja żyje gazetami paryskimi — tu jest inaczej; nowojorskie gazety nie docierają na prowincję. Każdy stan ma swoje wielkie dzienniki. Wiele z nich należy do tego czy innego trustu prasowego i często okazuje się, że są tylko lokalnym wydaniem podlegającym nowojorskiej centrali. Zdarza się, że są w mieście dwie gazety o dwu różnych kierunkach, należące do tego samego właściciela; popierają one wprawdzie różnych kandydatów, ale w zasadzie prowadzą tę samą politykę.

Styl amerykańskich gazet jest bardzo swobodny. Wyrażenie „gazeta bulwarowa” wywodzi się z Francji, gdzie jak wiadomo dziennikarze nie grzeszą zbyt akademizmem. Znam dobrze gazety francuskie i mimo wszystko byłem zażenowany zapoznawszy się z tutejszymi organami prasowymi. Nie ulega wątpliwości, że krytyk muzyczny „New York Times” czy obserwator ekonomiczny „Herald Tribune” to ludzie o wielkiej erudycji, ale nie ich artykuły są typowe dla przeciętnej amerykańskiej gazety. Bardziej typowe są artykuły niejakiego Line’a, które drukuje się co tydzień w pięćdziesięciu gazetach. Artykuły Line’a — to kolekcja krótkich i brudnych plotek — kto z nim zjadł obiad i ile dolarów to kosztowało, albo jak senator X podobał się aktorce Y czy na odwrot. Ma się rozumieć, że i plotki są organizowane: tego a tego należy wywyżczyć, tamtego znowu pogрызć.

Reporter wielkiego nowojorskiego dziennika potajemnie wybrał się do krawca, który szył dla mnie ubranie. Następnego dnia ujrzałem w gazecie fotografię — jak przymierzam spodnie... Artykuł towarzyszący temu zdjęciu poświęcony był palacemu problemowi — dla czego „czerwony pisarz” woli guziki niż zamki „błyskawiczne”. Kiedy na pewnym zebraniu dziennikarza spytałem, jak mogą gazety drukować podobne głupstwa, odpowiedziano mi: „W Ameryce istnieje zainteresowanie dla człowieka”.

Otworzyli pierwszy z brzegu numer dziennika w Birmingham ujrzałem na pierwszej stronie ogromny portret młodej dziewczyny. Znając obyczaje miejscowej prasy zdecydowałem, że ta uroczą osobka albo zarzęną kogoś, albo wyszła za milionera. Okazało się raptem, że wyjechała do Hollywood w nadziei zostanie gwiazdą filmową i tam znalazła się „przy nadziei”. Ponadto nie było w jej historii nic osobliwego — mimo to umieszczono ją na tytułowej stronie.

Reporterzy to przeważnie ludzie rzutcy, ale niezbyt wykształceni. Zapisałem sobie kilka pytań, jakie zadał mi reporter jednego z poważnych dzienników; cytuję je dosłownie, zachowując ich kolejność: „Czy ubranie, które pan ma na sobie, jest amerykańskie czy moskiewskie? Czy naród rosyjski wie, że Ameryka pomagała mu w czasie wojny? W jaki sposób mieszkańcy Moskwy dowiadują się o ostatnich kursach giełdowych? Czy pan już od dawna żonaty? Dlaczego u was jest jedna partia polityczna a nie dwie? Czy pan wstaje późno? Dlaczego chcecie zaważnąć Albanię?”

Chcąc być sprawiedliwym muszę się za-

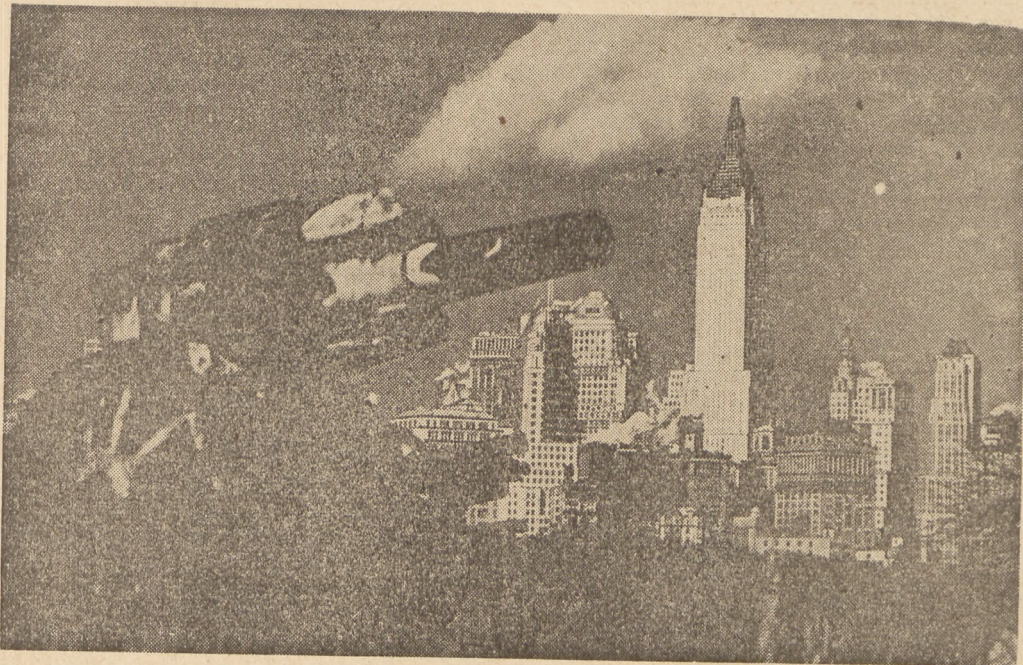
strzec, że takie kłopotliwe sytuacje zdarzają się nie tylko z reporterami. Pewna dama w Nowym Orleanie, profesor socjologii, pragnęła spotkać się ze mną; na oficjalnym obiedzie posadono mnie obok niej i wtedy ona mnie zapytała: „Pan jest białym Rosjaninem czy czerwonym?” Nie można więc zbyt surowo osądzać reporterów — nie są oni przecież profesorami...

Jestem przekonany, że amerykański czytelnik prawie zawsze jest mądrzejszy od gazety, którą czyta, ale mimo woli ulega on owemu stekowi głupstw. Przedwczoraj był przerażony na śmierć próbami z bombą atomową. Wczoraj rozczarowany mówił, że „Hilda” (tak przezwaną bombę) się skompromitowała. Dziś rozczuliła się nad śmiercią kóz i świń, które zginęły przy doświadczaniu — przecież gazeta dokładnie go poinformowała, że stanie pomnik na cześć tych zwierząt. I on już nie myśli o tym, że może jego dzieciom grozi śmierć od jakiejś „Hildy”.

Rozmawiałem z pewnym farmerem w Tennessee. Farmer ten oświadczył mi, że prawdopodobnie dojdzie do wojny Ameryki z Rosją. Był to spokojny człowiek, całkowicie pochłonięty swoim bydłem. Kiedy przyszedłem do niego, doł krowy przy pomocy elektrycznych dojkarek. Należy zauważyć, że elektryfikacja doliny Tennessee, powstała zgodnie z dyrektywami Roosevelta, podniosła znacznie poziom życia w siedmiu stanach. Farmer ma teraz o wiele więcej wolnego czasu. Nic też dziwnego, że czyta gazetę miejscową od deski do deski. A ta gazeta — „Knoxville Journal” — zawiadamia co dzień o nowych knowniach Rosji Sowieckiej. Zgodnie ze słowami tego pisemka, Rosjanie to połykają Triest, to wdzierają się do Iranu, to znowu zagrabiają Koreę. Farmer, biedak, o wiele lepiej rozumie się na dojności krów, niż na geografii i czytając gazety nie może się tylko dość nadziwić — co to za okropni ludzie, ci „czerwoni”. Nie wątpię, że czytał on w „Knoxville Journal”, z 18 maja, odezwę pewnego „bractwa”. Odezwa ta głosi, że Moskwa to wcale nie jest Moskwa, ale Meszech, o którym wspomina psalm 120, a Magog, o którym mówi prorok Ezechiasz, to nic innego, jak tylko Rosja Sowiecka i że „jest rzeczą konieczną zetrzeć z oblicza ziemi krainę komunistycznego Magoga”. Wygląda to jak bredzenie chorego, a przecież jest wydrukowane

„przedstawiciel GPU”. W rzeczywistości towarzyszył mi przedstawiciel departamentu stanu (tak się nazywa tu ministerstwo spraw zagranicznych), z którego gazety zrobili „tajnego sowieckiego agenta”. Mówiąc o mej podróży po Ameryce, gazeta „Time” wykrzykuje: „Korzystał on ze swobody, o jakiej często, ale na próżno marzą amerykańscy korespondenci w Moskwie”. Wydrukowano to w numerze 23 gazety na 70 stronie; w tym samym numerze, na stronie 30 przeczytałem, że amerykański dziennikarz, John Fisher, w przeciągu trzech miesięcy sam jeden jeździł po Ukrainie. Trudno powiedzieć, o jakiej właściwie swobodzie marzył mr. John Fisher znajdując się w Związku Radzieckim? Czy może ubolewał nad tym, że nikt mu nie towarzyszył? Ja osobiście jestem bardzo wdzięczny za okazane mi względy, tym bardziej, że p. Nelson, który mi towarzyszył, to człowiek wielkiej kultury i taktu. Ale jak zrozumieć tyrania gazety „Time”? Jeśli amerykańskiemu dziennikarzowi towarzyszy przedstawiciel sowieckiego ministerstwa spraw zagranicznych, amerykańscy dziennikarze krzyczą, że się ich pozbawia swobody. Jeśli sowieckiemu dziennikarzowi towarzyszy przedstawiciel departamentu stanu, gazeta „Time” pisze, że dziennikarze amerykańscy nie śmiają nawet marzyć o podobnej swobodzie. Nie rozumiem takiej logiki albo obawiam się, że ją aż nadto dobrze rozumiem...

Kiedy amerykańscy przyjaciele zapytałem mnie, co należy zrobić, aby ulepszyć nasze wzajemne stosunki, odpowiedziałem: „Ustanowić jedną miarę”. Niech czytelnik nie sądzi, że proponuję Amerykanom, by wprowadzili u siebie system metryczny — nie chcę się mieszać do ich spraw. Jeśli się im podoba, że woda zamarza przy 32 stopniach Fahrenheita, to ich prywatna sprawa. Ale musi być jedna miara stosowana przy ocenie postępów. Mimo to widziałem tu często dwie miary: jedna dla cnotliwych Anglosasów, druga dla niegodziwych „czerwonych”. Kiedy Amerykanie uważają Islandię za swoją bazę, to jest to „gwarancja pokoju dla całego świata”; ale kiedy Związek Radziecki nie chce, żeby sąsiadujące z nim państwa stały się bazą wypadową na Rosję, to jest to „czerwony imperializm”. Jeśli Amerykanie zajmują się produkcją bomb atomowych, to jest to — niewinna gra, coś w rodzaju futbolu; ale niech



Widok Nowego Jorku podczas minionej wojny

w gazecie. Takie nawoływania dezorientują wielu farmerów nie tylko w Tennessee. Pamiętam starą hiszpańską piosenkę:

„Jedni śpiewają to co wiedzą,
Inni wiedzą to co śpiewają...”

Farmerzy śpiewają to co wiedzą; a oto „bractwo”, wydawca gazety knoxwilskiej, przeróżne trusty, Hearsta i nie Hearsta, południowi demokraci i północni republikanie, ci panowie dobrze wiedzą, co śpiewają.

Amerykane mówią często o tej „żelaznej kurtynie”, którą jakoby Związek Radziecki odgrodził się od świata. Muszę przyznać, że rzeczywistość ta „żelazna kurtyna” istnieje i nie pozwala przeciętnemu Amerykaninowi zobaczyć, co się dzieje w naszym kraju. Kurtynę tę stwarza się w Ameryce — w redakcjach gazet, w radiostacjach, w gabinetach producentów filmowych i filmowych operatorów.

Wiele gazet amerykańskich, przy pomocy „własnych korespondentów”, okłamuje codziennie czytelników. W jaki sposób może przeciętny Amerykanin sprawdzić, czy informacje o Węgrzech lub Bułgarii są prawdziwe? Nie wie nawet dokładnie, gdzie się te kraje znajdują. Leżą przecież tak daleko! Oto ja byłem pod bokiem, w Ameryce, a pisano o mnie mnóstwo bzdur. Pisano np., że nie podróżuję sam po Ameryce; towarzyszy mi

pod Moskwą żołnierze radzieccy zagrają w piłkę nożną, to jest to „przygotowanie do zajązowania świata”.

Naród amerykański nie chce wojny, to do brodużny i pracowity naród. Obecnie jest to kraj bogaty, zwłaszcza, jeśli się go porówna ze zrujnowaną Europą. Fabryki samochodów w Detroit pracują bez przerwy i nie mogą nadażyć zamówieniom. Ludzie „zapisują się” na lodownie, odkurzacz i odbiorniki radiowe. Ameryka nie zaznała żelaznej stopy wojny i to, co dla Europejczyka jest tylko drobną niewygoda, tu okazuje się poważnym brakiem. Można tu usłyszeć zabawne narzekania: „Mało masła... Zamiast befsztyka kura albo baranina... Kolejki za jedwabnymi pończochami... Trudno dostać białą koszulę, tylko kolorowe... To tu, to ówdzie wybuchają strajki: robotnicy dążą do podniesienia poziomu życia... Wrócili zdemobilizowani. Kraj przypomina nowe mieszkanie po przeprowadzce albo początek roku szkolnego. Ludzie z przyjemnością myślą o jutrzejszym dniu, który powinien być lepszy niż dzisiejszy. Zapomnieli już dawno o dniu wczorajszym, a pojutrze mało ich obchodzi. Jeśli czasem ktoś pomyśli: „i znowu przyjdzie kryzys i bezrobocie”, to natychmiast odpędza od siebie te czarne myśli. Są to ludzie, którzy nie chcą wglądać w przyszłość. Wielu z nich już nieraz przeżyło prze-

*) Por. nr. nr. 33 (90) i 34 (91) „Odrodzenia”.

ście od bogactwa do ruiny i od nędzy do bogactwa: stworzył oni sobie swoisty fatalizm i biorą życie takim, jakie ono jest. Nie chcą kryzysu, nie chcą też wojny. Artykuły w gazetach o „trzeciej wojnie światowej“ naprawdę ich burzą. Ale te artykuły, to gadanie, te przepowiednie powtarzają się zbyt często: chce się przyzwyczaić przeciętnego Amerykanina do myśli, że „trzecia wojna światowa“ jest nieunikniona.

Pewien wielki przemysłowiec, namiętny wróg Związku Radzieckiego, powiedział mi: „My nie mamy zamiaru wojować. Nam zagraża nie polityka zewnętrzna Związku Radzieckiego, ale jego przyszłość — nie chcemy, żebyście zanadto podnieśli waszą stopę życiową“. Tak, panowie, którzy prowadzą kampanię antyradziecką, wojując z sowieckimi rondlami, z sowieckimi ogrodami warzywnymi, z sowieckim dobrobytem. Amerykańska polityka wewnętrzna — oto wyjaśnienie kłamliwych i złych artykułów o „trzeciej wojnie światowej“.

Tutejsi faszyci podnieśli głowę. Walczą oni z postępowaniem, z cieniem Roosevelta, z przodu-

jącą inteligencją, z robotnikami. Odżył „Ku-Klux-Klan“. Południowi demokraci (zwolennicy niewolnictwa) wyłamali się z dyscypliny i otwarcie zrywają z niedawną linią swej partii. Wczorajsi izolacjoniści uważają za konieczne mieszać się do europejskich spraw. Prawica energicznie przygotowuje się do nadchodzących wyborów i trzeba przyznać, że faszyzm nie traci tu czasu, potrzebnego dla przygotowania rewantu.

Wielu faszystów stawia na swoich niemieckich zwolenników, rozbitych wprawdzie, ale jeszcze żyjących. „Niemiecko-Amerykańska Liga Republikańska“ (przewodniczącym jej jest niejaki Kurt Mertig) żąda od prezydenta Trumana, „by nie dopuścił do unicestwienia w Rzeszy sześciu milionów członków partii narodowo-socjalistycznej“. Dziennik „Broom“ (San Diego) czy agencja „Pioneer News Service“ zajęte są wyłącznie rehabilitacją hitleryzmu. Czytając ich publikacje trudno pojąć, kto jest w Norymberdze sędzią, a kto oskarżonym.

Co by jeszcze do tego dodać? Może to, że wydano tutaj ogromne sumy w nadziei, że uda-

się uratować od kuli zdrącej Michajłowicza? Czy może to, że z honorami przyjęto „generała Bora“, przywódcę polskich organizatorów pogromów? Właściciele trustów nie obchodzą ani czetnicy, ani szlachta; prowadzą wojnę przeciw amerykańskiemu narodowi i do wojny tej mobilizują wszystkie upiory tego świata.

Mówiłem o sprzysiężeniu złych sił. Nie wierzę jednak w powodzenie tego sprzysiężenia. Prawdą jest, że przeciętny Amerykanin nie osiągnął jeszcze dojrzałości politycznej, ani znajomości Europy. Ale posiada zdrowy rozum i serce. Jego nie zawsze dobrze wychowano, zatruty jest rasowymi uprzedzeniami, ubóstwa papierowego dolara, chociaż słyszy w kościele, jak pastor potępia kult złotego cielca. Możliwe, że jest on za bardzo pewny siebie. Ale to nie jest ani zły ani głupi człowiek. Ameryka rośnie — mówię nie o drapaczach chmur, ale o ludziach. Z każdym rokiem jest coraz więcej ludzi, których mgliście nazywa się „postępowymi“. To oni domagają się praw dla Murzynów, wśmiewają przesady i obłudę, potępiają popieranie Fran-

co, chcą wykorzystać faszyzm zarówno w Niemczech, jak i poza ich granicami, namiętnie interesują się naszą kulturą, naszymi książkami i naszymi filmami. Wprawdzie ludzie ci stanowią mniejszość, niemniej mniejszość ta myśli, walczy i szuka prawdy. Ludzie ci widzą ratunek Ameryki nie w tym, że Rosjanie będą mieli mało rondli, ale w tym, że każdy Amerykanin będzie posiadał obok rondli głębokie myśli i prawdziwe uczucia.

Zostawiłem w Ameryce wielu serdecznych przyjaciół, nie tylko osobistych — również przyjaciół narodu radzieckiego, przyjaciół myśli i sumienia. Amerykanie lubią szczerść. Powiedziałem im otwarcie, co mi się podobało w Ameryce, a co nie. Oszczędzać należy tylko słabych i starych. Amerykanie zaś są młodzi i tryskają zdrowiem. Poza tym obecnie znajduje się w Ameryce wielu europejskich pochlebców, łasych na pożyczki, spodnie i konserwy. A Amerykanie sami lubią sądzić, sądzić i osądzać. Wiem, że słowa moje przyjmą oni jak słowa przyjaciela. Ten wielki naród ma wielką siłę i potężną wolę i musi mieć godną siebie historię.

Ilija Erenburg
przełożyła Zofia Marynowicz

MIROSLAW ŻULAWSKI

Pokój luksemburski

Paryż, w sierpniu 1946 r.

Od zamku wersalskiego do Pałacu Luksemburskiego jest w prostej linii piętnaście kilometrów. Przestrzeń tę można przejść piechotą, dobrym krokiem, w dwie godziny. Między pokojem wersalskim a konferencją luksemburską leży ćwierć wieku. Dla przebycia drogi między Wersalem a ogrodem luksemburskim, dla zrobienia tych piętnastu kilometrów, zużyto ćwierć wieku, idąc przez Genewę i Hagę, Berchtesgaden, Monachium, Atlantyk, Teheran, Jaitę, Moskwę, Poczdam, Londyn, San Francisco, New York — wędrując od Dunkierki do Norymbergi, od Stalingradu do Berlina, z Pearl Harbour do Tokio, z Hiszpanii do Chin, z Abisynii do Austrii i Czechosłowacji, z Warszawy, przez wszystkie strony świata, do Warszawy.

Pałac Luksemburski nie posiada ogromu, wdzięku, elegancji i rozmachu Wersalu. Tam świetny zamek stoi na płaskim wzgórzu u stoku wielkich perspektyw, w otoczeniu oszalałych ogrodów, z wylotami na dalekie widnokręgi złudnych mirażów, migocących w słońcu i mgłę późnego lata. Trianon i Saint Germain leżą opodal wśród siódmich cudów świata. Tu traktat wersalski, tu traktaty z Austrią i Węgrami wypracowywane były w izolacji, oddaleniu, ciszy, oderwaniu. Kto się zmęczył, szedł między stare drzewa, marzył.

Pałac Luksemburski leży w sercu Quartier Latin, w sercu Paryża i w sercu świata. Wokół są wąskie uliczki pełne życia. Sklepiarki i szewcy, podniósłszy głowy znad lady i kopyta, widzą krople potu na czołach delegatów dwudziestu jeden narodów. Idący do pracy lub wracający z niej ludzie zamieniają uśmiechy z Trzema Wielkimi do woli. Cienkie głoski rozbawionych w ogrodach dzieci dolatują w chwilach ciszy do sali posiedzeń. W salach obrad komisji szeroko otwarto okna na ulice, Paryż, świat cały. Jeśli się wsłuchać dobrze, można by poprzez głosy dzieci i świergot jaskółek rozróżnić w szumie i huczeniu miasta szmer pracy brukarza, szofera, kolejarza — odległe tętno fabryki i bliskie klaskanie rzemieślniczych narzędzi. Gazeciarki sprzedają świeżą historię przed bramą, o dwa kroki od miejsca jej stawiania się, czy tylko zagęszczenia.

Historia tworzy się po prostu, narasta zwyczajnie, jak wszystkie ludzkie sprawy. To dopiero później patynuje ją czas w podręcznikach, pomnikach i legendach na zielony kolor spóźnionej zagadki. Uczestniczy się w jej narodzinach bez dreszczu, gójąc się codziennie rano i kłopotąc plamą z sosu na surducie. Marmurowy Colbert czy Turenne z luksemburskiego cokołu wydaje się czymś nieskończenie większym niż żywy Byrnes lub Molotov w krzesłach hemicyклу, a przeczleż w gruncie, mogliby sobie uciąć ręce, jak rówieśnicy. Dziejopisarz historii świata zamieści ich kiedyś w tym samym rozdziale o wieku dojrzenia ludzkości.

Historia dyplomacji jest pasjonującą lekturą. Czyta się ją jednym tchem, z wypiekami na twarzy. Ale Metternich ziewał tak samo, jak dziś to czyni Bidault. Słuchając przydługiego przemówienia, a Talleyrandowi podobnie „uciekała fala“, jak dźwięcznemu w nosie delegatowi Indii. Nudzimy się, będąc świadkami posiedzeń, o których przebiegu do czwartej rano czytać będą bezsennie potomni.

Nie zawsze jednak jest nudno. Czasem na posiedzeniach zdarza się to, co Francuzi nazywają „coup de théâtre“, nadając obradom nowy rytm. Wówczas następuje gwałtowne starcia najościwszych wag, trybuna prasowe zapalają się błyskawicznie, Chilczycy wymają wachlarze i zaczynają się wachlować, delegat Indii wali w pulpit jak w bęben. Od byle starcia się punktów widzenia Wielkich powstają elektryczne wyładowania, po których zwykle następuje okres pogody.

Konferencja luksemburska niewątpliwie nie praktykuje wersalskich formuł swej poprzedniczki. W miejsce języka dyplomatycznych wygibasów, uświęconych tradycją dyplomacji dworskich, czarujących sztuczek i wyszukanych zwrotów, wszedł język prosty, zmierzający do celu możliwie najkrótszą drogą. Dzieje się tu to samo, co w sporcie. W footballu, tenisie i boksie zrezygnowano ostatecznie z fineryjnych kombinacji, wymian ciosów, piłek czy uników, z gry efektownej ale nieskutecznej. Zastosowano środki proste, niewymyślne, mało widowiskowe. Gwałtowny serwis, straszliwy smash i punkt. O to właśnie chodzi. O punkt. Niczego już się nie robi dla gry, dla zabawy, dla widza. Chodzi o punkt, o zwycięstwo.

Jeśli jesteśmy o wiele bardziej chamscy od naszych przodków w swych poczynaniach, to jesteśmy zarazem o wiele mniejsi hipokryci. Zrećność przestała ważyć tyleż samo co racja. Majstersztyki Talleyranda na konferencji wiedeńskiej nie udadzą się już nikomu. Nie chodzi o to, co i jak mówisz, ale kto jesteś i czego chcesz. Język konferencji międzynarodowych zmienia się, jak język potoczny, według tych samych prawideł ewolucji. Wysławiamy się znacznie prościej niż nasi dziadowie, w życiu codziennym, jak i w polityce. Znacznie prościej kochamy się, ubieramy, gramy w tenisa. Język kaflarza nie różni się już w tym stopniu od języka ministra spraw zagranicznych, co w epoce klasycznej dyplomacji. Oczywiście, na ten stan rzeczy, jeśli chodzi o konferencję pokojową, jak i politykę międzynarodową w ogóle, złożyło się również wejście w krąg zagadnień światowych młodych i na przebudowanych zasadach społecznych i gospodarczych opartych organizmów państwowych, które kierowników politycznych wyłoniły spośród najszerszych warstw społecznych. Powstały nowe religie świeckie, które natchnęły wiarą swych apostołów. Na konferencji luksemburskiej więcej jest tej wiary niż cynicznej sofistyki Talleyrandów i Metternichów. Wiadomo, że Clemenceau nie wierzył już właściwie w nic. Jak Churchill, był ładunkiem skoncentrowanej woli, i może tylko już w tę swoją wolę wierzył. Wola jest jednak jak armata. Trzeba ją wyrzucić według określonych i zamkniętych w logiczną całość prawd, które się raz na zawsze wyznaje. Wtedy dopiero można odpaść lont. Dlatego wojna była biosferą jednego i drugiego. Póki trwała, póki wiadomo było, że trzeba walczyć i zwyciężyć, póty Clemenceau był „ojcem zwycięstwa“, a Churchill wywoływał entuzjazm tłumów w kształt litery „V“ złożonymi palcami. Wojna konkretyzowała namacalnie i wyraźnie „credo“ jednego i drugiego. Z chwilą kiedy minęła, znów nie było w co wierzyć.

Wśród delegatów „21“, zarabiających na przydomek „Ojca Pokoju“, każdy w coś właściwie wierzy. W demokrację idealistyczną lub materialistyczną, w wolność liberalną lub społeczno-gospodarczą, w Boga lub prawa historycznej ewolucji. Są trzy języki prasy, ale być może, dwa tylko porozumiewania się, trudno przetłumaczalne.

Sprawę znakomicie zagmatwał pewien dziennikarz amerykański, kiedy wspominając słowa Brianda, wypowiedziane po dziedzielnicy Ligii Narodów: „Mówiliśmy dzisiaj językiem europejskim. Trzeba, aby wszyscy nauczyli się nim władać“, napisał dosłownie: „Ale językiem europejskim nie można mówić z akcentem słowiańskim!“.

Dziennikarz ów pomylił się zasadniczo. Być może, że na posiedzeniu briandowskim mówiono językiem europejskim. Już wówczas jednak nie tylko można było, ale trzeba było dopuścić do mówienia tym językiem z akcentem słowiańskim. Historia wykazała, jak dalece było to konieczne. Ale dziennikarz amerykański pomylił się w znacznie większym stopniu, niż mógłby to uczynić Briand. Na

konferencji paryskiej trzeba bowiem mówić językiem już nie europejskim ale światowym, a w tym języku jest miejsce, jest dużo miejsca na akcent słowiański. Tym akcentem wydawane były, w języku zrozumiałym dla świata, rozkazy bojowe i tym akcentem wypowiedziano ostatnie słowa przed śmiercią, ponoszoną w imię wolności i pokoju świata. Pierwsze „ognia“ zakomenderowano w obronie świata w języku polskim, w języku słowiańskim. Czy akcentu słowiańskiego, jakim rozbrzmiewała wojna, miałby ktoś prawo odmawiać językowi pokoju?

Zadane za państw słowiańskich nie życzy sobie pokoju słowiańskiego, jak nie życzy sobie „pacem germanicam“, jak nie życzy sobie „pacem americanam“ ani pokoju „bloku zachodniego“. Chcemy pokoju światowego, w którym by można było mówić językiem ludzkości, z każdym akcentem.

O cóż bowiem chodzi? Każda konferencja pokojowa jest w gruncie próbą zaprowadzenia pokoju między zwycięzcami. Minister belgijski Spaak nie ma racji, ironizując na ten temat. Współczesna wojna kończy się z zasady zupełnym unicestwieniem jednego z przeciwników, lub jednej z grup przeciwników, jako państwa i zdaniem go na łaskę i niełaskę zwycięzcy czy zwycięzców. Panami pokoju i strażnikami jego losów są zwycięzcy i do nich należy zrobienie pokoju, jak od nich zależy utrzymywanie go.

Nie chodzi o to, kto wygrał wojnę. Chodzi o to, kto może zrobić wojnę. Wiadomo dobrze, że tylko ci trzej najsilniejsi mogą dziś wojować. Czy Rumunia może wypowiedzieć wojnę? — Nie. — Czy może zagrozić pokojowi? Tak. — Kiedy? — Wówczas, kiedy stanie się zarzewiem lub przyczyną wojny między Wielkimi. Od czego więc zależy pokój świata? — Od zgody Wielkich. Od czego zależy zgoda Wielkich? — Od uporządkowania spraw w taki sposób, aby wszyscy Wielcy się nań zgodzili. Pozwólmy im więc uporządkować sprawy między sobą, popieramy ich w punktach, które uzgodnili, nie przeszkadzajmy im. Nie wysuwamy problemów, które by ich różniły. My, Średni i Małi, nie wygrywamy Wielkich przeciw sobie dla egoistycznych interesów. O cóż bowiem chodzi? — O pokój. Wielcy się jakoś potrafią uzgodnić nawet bez niego. My nie. Ponieśliśmyby natychmiastowe i bezzwrotne koszty każdej nie tylko wojny, ale nawet niezgody w kwestiach zasadniczych. Potrzebny jest nam pokój, który zależy od zgody Wielkich, która z kolei zależna jest w dużym stopniu od nas.

To jest formuła polskiej polityki na Konferencji Paryskiej, na Radzie Bezpieczeństwa, w ONZ. Polska wyczołgała swój wniosek dopuszczenia jej do komisji opracowującej traktat pokojowy z Węgrami, skoro zorientowała się, że zdania Wielkiej Trójki są w tej sprawie podzielone. Polska głosiła stale za formułami przyjętymi przez Czterech Ministrów Spraw Zagranicznych, przez Jaitę czy Poczdam. Upięra się przy głosowaniu za zgodą Wielkich tam, gdzie ci ją uzyskali.

Kto wygrał wojnę? To głupie i niepotrzebne pytanie dzieli często tych i owych. Po pierwszej wojnie światowej, ilekroć spotkali się w jakimś porcie marynarze amerykańscy i angielscy, z góry było wiadomo, że będzie pranie. Zaczynał yankesi: „Halo, Tommy, powiedz kto wygrał wojnę?“ Jeśli z przeciwnika odpowiadano, że Angliki, zaczynało się mordobicie. Jeśli chcieli się wymigać Francuzami, mordobicie zaczynało się także. Odpowiedź „Amerykanie“ uważana była za kpiny i również powodowała bójkę. Milczeniem jeszcze się nikt z niczego nie wykreślił, więc w tym wypadku też nie. Kto wygrał wojnę? — A jeżeli powiem, że Polska, to może zabraknie mi argumentów? — Dajmy temu pokój. Wystarczy wiedzieć, kto ją przegrał.

Nawiasem mówiąc, wściekle słabo wykrzystujemy w polityce i propagandzie fakt,

że pierwsi poszliśmy w ogień. Nie eskontujemy roku 1939 nawet w tym stopniu, w jakim Cześć eskontują Monachium. Świat zapomina powoli o Wrześniu, bo mu zapomnieć pozwalamy. To przecież nie ówczesny rząd, ale naród polski powiedział „nie!“, a powiedział tak mocno, że nawet Beck musiał się z tym liczyć. Rząd wiał przez zaleszczycki most, kiedy naród walczył. Wrzesień 1939 powinien stać się naszym pierwszym argumentem wobec wszystkich, którzy o nim zapominają.

Ileż mam zaszczyt przysłuchiwać się obradom Konferencji Paryskiej, tyleżko przypominam mi się ostatnia scena z filmu Abła Gance'a „Koniec świata“. Proszę nie rozumieć tego jako złośliwość. Scena ta przedstawia kongres, jaki się zebrał po częściowym końcu świata dla uregulowania wieczystego pokoju i braterstwa między ocalałymi resztkami narodów. W fotelach zasiadają egzotywni goście, czarni, żółci, brązowi, czerwoni, w turbanach, fezach, piórach, burnusach, sarongach. Niemal tak samo jest teraz w Pałacu Luksemburskim. Myślę jednak, że lepiej zrobić konferencję pokojową przed końcem świata, niż po końcu świata, choćby tylko częściowym. Bomba atomowa nie jest groźna, o ile będzie wieczny pokój. Wprawdzie nie mówi się o niej po imieniu na konferencji dwudziestu jeden narodów, ale wraz z kurzem Hiroshimy i wodą atolu Bikini wzbija ona chmurę nieufności, która opada wolniej niż wszystkie chmury świata. Ona i problem Niemiec wiszą nad Pałacem Luksemburskim jak zły cień.

O problemie Niemiec nie mówi się również na konferencji. Są dwie metody brania się do roboty. Albo zaczyna się od trudniejszej i zasadniczej, odkładając łatwiejszą „drobnicę“ na później, albo odwrotnie. Obie metody mają swoich gorących zwolenników i obrońców. Wystarczy obserwować bagażowych, gdy mają przenieść stos waliz z jednego miejsca na drugie. Jedni zaczynają od największych i najcięższych, wychodząc z założenia, że skoro się zmęcą, to jeszcze pozostanie im dość sił dla walizek i walizeczek. Drugi zaczyna się od małych i lekkich, twierdząc, że to ich tylko zaprawi do dźwigania ciężkich i wielkich, że najpierw trzeba się uporać z drobiazgami, by mieć później już wolną głowę dla zajęcia się sprawą zasadniczą. Nigdy nie wyrobiłem sobie zdania, która strona ma rację.

Niemniej jednak minister Rzymowski, przemawiając w imieniu Polski, powiedział wyraźnie, że uważa problem niemiecki za zasadniczy, a otwierając konferencję prezydent Bidault wystrzegł się nazwania jej „pokojową“, mówiąc stale o „Konferencji Paryskiej“. Ale pokój zależy tak samo od szeregu konferencji, które go tworzą i określają, jak wojna zależy od szeregu bitew na lądzie, morzu i w powietrzu. Pokój montowano częściami w Teheranie, Jaitce, Poczdamie, San Francisco, Londynie, Nowym Jorku. Teraz odwała się poważny kawał roboty w Paryżu. Ale konferencja w Pałacu Luksemburskim jest tylko ogniwem w tym łańcuchu, którym przykuwa się do skały boga wojny. „A long, long peace... — jak mówił na otwarciu minister Masaryk — may be a permanent one... would't it be wonderful?“

Był taki wypadek w historii, bardzo, bardzo dawno, że ludzie chcieli dokonać czegoś bardzo wielkiego, ale nie zdołali, bo pomieściły się im języki. Pałac Luksemburski jest małą wieżą Babel. Tłumacze pracują w pocie czoła nad zaradzeniem dosłownym skutkiem wypadku sprzed wielu tysięcy lat. Ale istnieją pomieszczenia języków stokroć gorsze niż to, które opisuje Biblia. Żaden tłumacz przeciwnemu nie nie zdziął. Jeśli przed nim się ustrzeżemy, to zbudujemy naszą wieżę. Może zresztą biblijna wieża Babel, to było właśnie to?

Mirosław Żulawski

MIECZYŚLAW DEREŻYŃSKI

Wos-Budzysz, poeta kaszubski

Rzecz o Janie Karnowskim

Dziwne rozrzedzenie ogarnia nas przy wertowaniu późniejszych roczników „Gryfa” — czasopisma literackiego Kaszub, miesięcznika kaszubskiego, którego żywot niesłychanie był ciężki, podobnie jak żywot Majkowskiego i garści młodych zapaleńców, z Czernickim i Karnowskim, grupujących się wokół tego periodyku.

Dr Aleksander Majkowski był duszą ruchu młodokaszubskiego, który powstał na kilka lat przed pierwszą wojną światową, a którego wyrazem stał się Związek Młodokaszubów i jego organ regionalny „Gryf”. Znaczną rolę odegrali także w ruchu młodokaszubskim dwaj inni literaci regionalni: Jan Karnowski (Wos-Budzysz) i Leon Heyke (Stanisław Czernicki). Program Młodokaszubów streszczał się w dewizie: „Co kaszubskie — to polskie”. W myśl tej zasady budzili oni wśród ludu kaszubskiego zamiłowanie do folkloru miejscowego i umacniali związki Kaszub z Polską. Działalność ta wytworzyła na Kaszubach silny prąd ku pracy kulturalno-oświatowej w oparciu o mocną podbudowę regionalną.

Działalność ta wywołała sprzeciw zarówno w społeczeństwie polskim jak i wśród Kaszubów samych. Twórców „Gryfa” posądzono nieustannie o tendencje separatystyczne, zarzucano im parafianstwe, kult patriotyzmu lokalnego. Z czasem jednak opinia polska przekonała się, że zdrowy regionalizm kaszubski stał się mostem łączącym kraj nasz z Bałtykiem, a nazwiska Majkowskiego, Karnowskiego i Heyki przeszły do historii.

Nazwisko Karnowskiego w rocznikach „Gryfa” przedwojennego i powojennego nie figuruje. Czytelnik ani się domyślał, iż Janowicz, z pasją zajmujący się sprawami językowymi kaszubszczyzny, etnografią kaszubską, historią literatury kaszubskiej, topografią i wszystkim, co dotyczy tej błękitnej krainy, wspartej o sine wody Bałtyku, że ten Janowicz i Wos-Budzysz, piszący smutne liryki o krainie kaszubskiej, poematy historyczne i rzewne piosenki, to jedna i ta sama postać. A już nikt nie uwierzyłby, iż autorem „Nowotnych śpiewów”, żalonych dumek, ciepłych wspomnień o Derdowskim i Cejnowie jestownik, jest człowiek, którego zajęcie zawodowe wymaga ścisłego trzymania się suchej litery prawa, paragrafu, aktów sądowych — człowiek, który pod skorupą pedownej oschłości i małomówności nosił złote serce zadziernego Kaszuba, wypełnione po brzegi poezją, ukochaniem piękną i dobrą, a nade wszystko umiłowaniem swej ziemi rodzinnej.

Janowicz-Karnowski był pionierem kaszubszczyzny, odsłaniał jej piękno, odgrzebywał z niepamięci świetną przeszłość ziem Mściwojów, zaglądał do drewnianych chęć kaszubskich, wydobywał stamtąd stare skrzynie, obrazki malowane na szkle, barwne czepek, sukmany, wynajdywał w szafach stare księgi, śpiewniki i wszelkie rękopiśmienne zabytki, stwierdzając niezbicie, iż od zarania naszej państwowości twardy szczerp pomorsko-kaszubski sięgał od Szczecina aż po stary, krwawą kaszubską zroszony Gdańsk. Janowicz niezmordowanie zajmował się zawilim zagadnieniem pisowni kaszubskiej, która jest tragedią piśmiennictwa kaszubskiego ze względu na różną akcentację Kaszub południowych i północnych i ze względu na to, iż różni się 70 dialektów kaszubskich wśród 200-tysięcznej rzeszy Kaszubów. Znaczący to, że niemal każda parafia, każde większe pustkowie (tzn. wieś) posiada podrzędne narzeczce, własną gwiarę. Ugodnienie tych pisowni i stworzenie jednolitej ortografii kaszubskiej — oto jedno ze śmiałych zamierzeń Karnowskiego.

Starannie przygotowywał się Wos-Budzysz do zawodu poetyckiego. A kiedy jako 24-letni młodzieniec wyjechał w Poznaniu w 1910 roku swoje „Nowotne śpiewy”, pisał o nim mentor jego i przyjaciel, Aleksander Majkowski: „Pierwszy to poeta kaszubski, który świadomie i celowo wprowadza rytmikę i akcent właściwy kaszubszczyźnie do swych wierszy. Dotychczasowi pisarze używali, jak Derdowski, akcentu polskiego, który nie licował wcale z właściwościami akcentowymi mowy kaszubskiej...” „Silny to talent poetycki, który świetnie daje sobie radę z trudnościami formy i nosi cechę rdzennie kaszubską”.

Kończył Majkowski powitanie młodego poety słowami następującymi: „Jesteś skowronkiem, który przed wschodem słońca unosi się nad szarym polem! Śpiewaj! Niedługo a wyjadą oracze w pole, którzy idąc za pługiem w czarnej brudzie, wdzięcznie słuchają cię będą i tobie zawtórują”.

Dr Lorentz wyraził się o Budzyszu następująco: „Bez przesady uważać można go za pierwszego, rzeczywistego kaszubskiego poety”. A inny z krytyków oświadczył w „Gry-

fie: „Utwory Budzysza rozpoczynają nowy okres artystycznej poezji kaszubskiej”.

Jego liryki dają mu tytuł do sławy pośmiertnej. Jeśli talentem swoim nie dorównał Majkowskiemu, jeśli nie poważał się na rzeczy większe i nawet w marzeniach nie śniło mu się skomponowanie takiego dzieła jak „Zece i przigode Remusa” — wniósł on jednak do literatury kaszubskiej wiele innych wartości, a przede wszystkim otworzył społeczeństwu polskiemu oczy na piękno regionu kaszubskiego, dowodząc, iż wieczyste są więzy łączące Polskę z tym modrym małym kraikiem. Wprost godna podziwu jest ta jego działalność odkrywczą, to jego badanie folkloru kaszubskiego, to usuwanie zastarzałych dzielnicowych przesądów, ta rejestracja faktów historycznych. Z niesłychaną pasją, z fanatyzmem wprost żywiołowym wgrzyzał się i wtopiał Karnowski w przeszłość swej ojczyzny i dzielił się szczerze swymi spostrzeżeniami z otoczeniem. „Gryf”, „Zaborcy”, „Mestwin”, „Tekka Pomorska” — niemal wszystkie pomorskie pisma udzielały mu gościny, a on zawsze potrafił czynić zainteresować opinię Pomorza i Polski.

Karnowski urodził się w 1886 r. w Czarnowie powiatu chojnickiego. Jako uczeń gimnazjum chojnickiego kierował tajnym kółkiem filomatów pod nazwą „Mickiewicz”. Filomata został na zawsze. On zorganizował pierwszy zjazd filomatów pomorskich i doprowadził do powstania Związku Filomatów Pomorskich, któremu przez szereg lat przewodził. Ogłosił też związał historię tajnego ruchu filomackiego na Pomorzu.

względny z odcieniem mistycznym. Ta filozofia wyłącza wszelką postać konfliktu, męstwa, woli przewyżczenia losu. Wspominałem przy tej sposobności o upaniszadach. W sferze społecznej analogią byłyby żelazne klatki kast, w których rodzą się i mrują pokolenia po pokoleniach, nie popełniwszy nawet grzechu marzenia o wyjściu ze swej doli. Taki biologizm w etyce oznacza zatarcie granicy między tym co dobre i tym, co złe (wypadek „Hadzi-Murata”). To entropia humanistycznego świata, czego symbolem — nirwana. Który z wojowników Homera postępuje według zasad Wed? Czy Priamowi przyjdzie do głowy pocieszać się, że Hektor żyje dalej w Achillesie, który zresztą popełnił samobójstwo w chwili, gdy przeszył włócznią szyję trojańskiemu bohaterowi, bo czy Hektor, czy Achilles, to na jedno wychodzi? I czy Troja rzeczywiście na to upadła, aby zrodziła Rzym?

Ostatni przykład nawiązujący do filozofii pociechy, jaką poezja mesjaniczna usiłowała karmić Polaków po upadku państwowości, jest bardzo charakterystyczny. Mesjanizm może się przejawiać tylko w konkretnych formach, jakie wypracuje na jego użytek dana epoka. U schyłku XVIII wieku zabarwiał się on kosmopolitycznie. W romantyzmie religijnym i mistycznym. W drugiej połowie XIX stulecia — biologicznie. Dla typowości zjawiska nie to jest ważne, co się kończy, co się zapada w przeszłość — raz będzie to niepodległość, innym razem ustrój polityczny, a jeszcze innym klasa, czy warstwa panująca — lecz sam fakt zamierania form dawnych, czemu towarzyszy filozofia pociechy, jako „idealnego zwycięstwa”.

Rytm życia przyrodniczego, którym tętni epika, może być pokusą biologizowania. Biologizm zaś może stanowić okazję epicką lub pokusę rezygnacji. Jest to krytyczny punkt epiki, który już w głębokiej starożytności był przedmiotem kontrowersji między epickim poglądem na życie i epickim literackim obrazem świata. Słowa „Iliady”, wyrażające życzenie, żeby spór zniknął z nieba i z ziemi, zaczęli według świadectwa Arystotelesa Heraklit z Efezu twierdząc, że gdyby się stało zadość pragnieniom poety, to wraz z konfliktem zniknąłby ze świata ład i porządek i sam byt zostałby podważony w swych podstawach. Walka bowiem sprzecznych pierwiastków jest warunkiem harmonii. Wojnę uznawał Heraklit za sprawcę wszelkich przemian na ziemi i stawiał ją jako rodzicielkę wszystkich rzeczy.

Polemika filozofa wojny z piewą wojennych zmagani, to po pierwsze przykład nieporozumienia między ideologiem a pisarzem. Następnie można by w tym widzieć rywalizację dwu odmiennych rodzajów literackich, dwu różnych sposobów ujmowania życia:

Po ukończeniu szkoły średniej, poświęcił się Karnowski studiom prawniczym, które odbył we Wrocławiu. Dla chleba został prawnikiem, serce jego rwało się jednak ku poezji, nauce, sztuce. Był Karnowski przez szereg lat najpierw referendarzem w Pomorskim Urzędzie Wojewódzkim, następnie sędzią w Toruniu, Czernsku i Chojnicach. Od zajęć służbowych uciekał jednak do studiów historycznych, literackich i językowych, a twórczości poetyckiej oddawał się do końca życia.

Zetknięcie się Karnowskiego z Majkowskim zadecydowało o karierze pisarskiej prawnika, który był poe-tą. Obraz tego idealisty i największego artysty kaszubskiego wrył się głęboko w jego duszę. Wszak on pokazał mu „nowe drogi, drogi piękna, wysłane kwiatami kaszubskimi, osrebrzone poświęta kaszubskiego heroizmu, wskazał ideał, dla którego poświęcić się warto”.

Od 1908 r. Karnowski włączył się w przeszłość i bada terenniejszość ludu kaszubskiego, jego język, stosunki społeczne. Jako wynik tych badań powstają artykuły, recenzje, krytyki, poezje, opowiadania, utwory sceniczne. Łączna ich ilość, nie licząc wielu drobniaków, przekracza półtorej setki. Nie wszystko jeszcze ukazało się w druku. Rzeczy drukowane, z wyjątkiem kilku wydanych w formie książek, znajdują się w rozmaitych czasopiśmiech i gazetach.

W latach 1925—27 redagował Karnowski toruńskie czasopismo regionalne „Mestwin”. Poza „Gryfem”, „Pracą” poznańską i „Mestwinem” wiele jego cennych prac znajduje się

w „Tece Pomorskiej”, „Zaborach”, „Kaszubach”, „Zrzeszy Kaszebskiej”, „Słowie Pomorskim” i „Dzienniku Bydgoskim”.

Puścizna literacka Karnowskiego jest i znaczna i wartościowa. Odzwierciedla się w niej życie Kaszub dawne i współczesne, życie Pomorza i Wybrzeża.

Wcześniej rozpoczął Karnowski zawód pisarski, a pióra z ręki nie wypuścił do śmierci. Wydał kilka prac historycznych, cztery tomy poezji kaszubskiej i napisał dwa widowiska regionalne: „Kaszube pod Widnem” i „Wesele kaszubskie”. Do historii literatury kaszubskiej przeszedł przede wszystkim jako utalentowany liryk.

Śmierć zaskoczyła go dnia 2 października tragicznego roku 1939, kiedy inwazja hitlerowska na Polskę była dokonana i zaczęły się straszne rządy brunatnego terroru na naszej ziemi. Doczekał się tego okropnego momentu, kiedy barbarzyńcy hitlerowscy niszczyć zaczęli dorobek ruchu młodokaszubskiego i zrzeszowców i zadawać kaszubszczyźnie straszne rany. Zmarł w Wyrzysku z dala od swej ziemi rodzinnej, którą kochał całym sercem.

Przyjdzie niewątpliwie czas, kiedy badacze piśmiennictwa kaszubskiego ogłoszą drukiem utwory z teki pośmiertnej Karnowskiego i przystąpią do wydania zbiorowego pism poety, który wyszedł z chałupy wiejskiej i zajął poczesne miejsce obok Jarosza Derdowskiego i Aleksandra Majkowskiego.

Mieczysław Dereżyński

Pod znakiem epiki

(dokończenie ze strony drugiej)

epickiego i dramatycznego. Heraklit był wyraźnie za dramatyzowaniem. A wreszcie można by to sprowadzić do dwu różnych taktyk społeczno-literackich: piśmiennictwa z tezą i piśmiennictwa realistycznego. Spór ten przedłożony na pojęcia współczesne mógłby się nazywać krytyką współczucia i solidaryzmu w imię dynamiki społecznej i krytyką piękno-duchostwa w imię takiej czy innej tendencji: Epicki stosunek do życia cechują spokój, obiektywizm, wyrozumiałość i współczucie. Pogoda epicka nie oznacza jednak chęci uniknięcia walki. Przeciwnie, to wynik starcia, w którym to co dobre i cenne może chwilowo paść, ale nie ulegnie bez boju i przynigdy nie wda się w małoduszne paktowanie. Pogoda epicka to męskie opanowanie bólu i pewność siebie jutrzejszych zwycięzców.

Rozróżnienie dwu postaw biologicznych: epickiej i nieepickiej, pozwoli nam ostatecznie rozwiązać zagadkę, kto jest właściwie bohaterem cyklu opowieści Marii Dąbrowskiej. Pierwotność i zdrowie „Ludzi stamtąd” poręczają nam w pewnym stopniu ich prawą epickość. Dola ich jednak, jak wspominałem, zależy od dworu. Dziejowym momentem epickim w dziele jest schyłek ziemianstwa. Było w tym procesie istotnie coś z przyrodniczej konieczności. Rozwój techniki rolniczej, trudniejsze warunki współzawodnictwa gospodarczego pogarszały dolę chłopów pańszczyźnianych i w czasach późniejszych służby folwarcznej nawet bez złej woli obszarników. Pogarszając jednak los służby przyspieszały jej dojrzewanie społeczne, więc w rezultacie wzmógł się dobrobyt dworu obracał się przeciw właścicielom nawet w wypadku, gdy służba była nieświadomiona klasowo i nieorganizowana przez przywódców. Ludzie czworaczni pracują nad rozkładem systemu dworskiego zarówno w sensie teorii o kumulacji kapitału, jak w sensie biologicznym, albowiem ten wysiłek, który ich przy życiu utrzymuje i do życia zaprawia, służy temu, żeby właściciel majątku mógł uniknąć wielu wysiłków i w ten sposób nie dorastać do konkurencji życiowej i społecznej.

To tłumaczy, jak ludzie dworscy sami przez się niebezpieczni (według klasycznej poetyki) uczestniczą w dworskiej epice, co więcej, oni to, dosłownie siłą swych mięśni stwarzają warunki, jakich od epiki wymaga poetyka. Ich wschód jest zmierzchem dworu. Ich krzepkość jest współzynnikiem pańskiej zniewieściałości. Stąd, jak mi się wydaje, w dziele Dąbrowskiej to intrygujące sąsiedztwo zdrowych instynktów i filozofii kalekta, upartej chłopskiej woli i rezygnacji panteistycznej. Odgródnienie się od rzeczywistości przy pomocy cudzej pracy prowadzi do zubożenia życia właścicieli. Stąd ciekawość obcego życia, wtórność przeżyć (dyskretnie zaznaczona rola kuchennej plotki) i erotyczna legenda

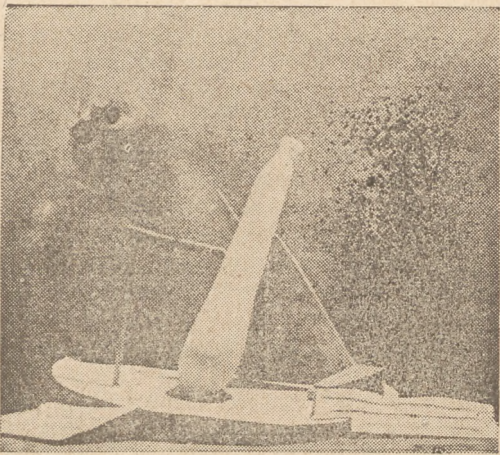
parobków i dziewek. (Eleuter—Iwazkiewicz słusznie to nazwał „erotyzmem inteligentkim”, „Wiadomości Literackie”, 1926, nr 103). Widok pozornie zadowolonych nędzarzy dostarcza zagrożonym deklasacją ziemianom wątku do biologicznej pociechy. Refleksy pańskiego sceptycyzmu pada na pos fornali. Stąd ten paradoks „epickiego” przymierza dworu i czworaków w „Ludziach stamtąd”. Życie obu wrogich sfer w dziele Marii Dąbrowskiej przenika się wzajemnie głębiej, niżby się spodziewać pozwalała anegdotalna strona utworu.

Siłą rzeczy narzuca się porównanie z „Nocami i dniami”, które zresztą muszą ograniczyć tu do wąskiego zakresu. Ważne są dla moich rozważań pewne punkty przecięcia się obu tematów i problematyki. Dzieje Niechciców nie są dziejami dworu, podobnie jak dzieje „Ludzi stamtąd”; przez medium Niechciców patrzymy na jakiś nieosobowy epos dworskiego życia. Pochodzenie społeczne bohaterów jest różne w obu utworach. Różny zakres tematyczny: dzieje gromady i dzieje rodziny. Różne perspektywy społeczne. Inny też podstawiony stopień rozkładu szlachetczyzny. Niechcicie mógłby być śmiało rządzącą we dworze z „Ludzi stamtąd”. Właściciel tego dworu nie potrafiłby chyba zająć miejsca Niechcica, bo nie odbył tej drogi, co Niechcic. Trudny żywot Niechcica to, mutatis mutandis, zmaganie się „Ludzi stamtąd” z twardą dolą.

W motywie Niechcica można by się dopatrywać przetworzonego lub rozmaskowanego motywu „Ludzi stamtąd”. To w fornalach, ratakach i kosiarzach „Ludzi stamtąd” tkwił materiał na Niechciców, a nie w sympatycznym zresztą właścicielu dworu. K. Czachowski nazywa Niechcica po prostu Bohatryrowiczem („Obraz współczesnej literatury polskiej”, III, 210). Ciche bohaterstwo Niechcica podziwialiśmy już przedtem w „Ludziach stamtąd”. Niechciców też odbarzą autorka tą bujnością i niesytością miłosną, jaką odznaczają się wszyscy kochankowie omawianego cyklu opowieści. Kariera Niechcica jest jego osobistą deklasacją, prowadzi jednak jego dzieci do nowej społecznej nobilitacji. „Noc i dzień” zakończyły się wędrówką do miasta. Przedostatnia opowieść z cyklu „Ludzie stamtąd” nosi zmienny tytuł: „Najdalsza droga”. To droga z czworaków, z ostatniego stopnia wiejskiego do miasta. Dla ziemianina tym ostatnim szczeblem dworskim było administrowanie cudzym majątkiem. Ten sam lęk przed nowym życiem na miejskim bruku ogarnia rozbitków ziemiańskich z „Nocy i dni”, co rodzinę Kaczmarków z „Ludzi stamtąd”, bo równie symboliczna jest ich dola: szczyty i doły wsi spotkają się w miejskim tyglu — na nowy stop społeczny.

Wacław Kubacki

Teatr Tadeusza Kantora



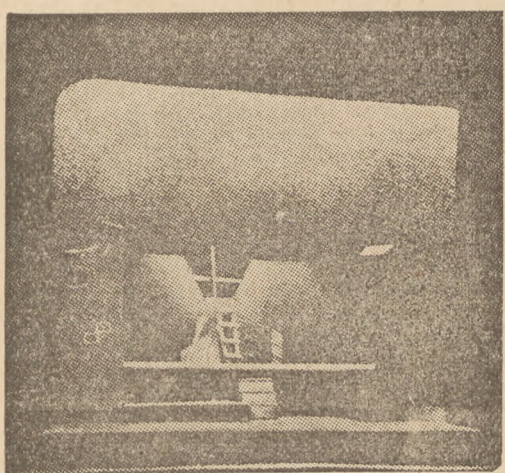
„Powrót Odysa” — makieta

W konspiracji, z ducha oporu wobec okupanta i z entuzjazmu dla sztuki, zrodził się w Krakowie zaczątek nowego stylu w teatrze polskim. Dwa były kapitalne przedstawienia, które wniosły ferment ożywczy, „Balladyna” i „Powrotu Odysa”. Garstka młodych, niepomna na czujne oko niemieckie, zbierała się co dzień dla przygotowania tych inscenizacji. Przedstawienie „Balladyna” zgromadziło około 100 osób w mieszkaniu Ewy Siedleckiej, przy ulicy Szewskiej. Przedstawienie ponawiano, los wyraźnie sprzyjał „szaleńcom”, wszystko odbywało się bez incydentu. Z uruchomieniem „Odysa” był już większy kłopot, trzeba bowiem było, przy paru koniecznych zmianach lokalu, transportować przez ulicę lufę armatnią, co prawda z tektury, ale i to udało się szczęśliwie.

Srodowisko, w którym realizowano te pierwsze próby nowego teatru, dyktowało warunki, które stanowiły o jego charakterze. Przedstawienie odbywało się w mieszkaniu prywatnym, bez sceny i widowni. Akcja rozgrywała się po prostu w pośrodku pokoju, a dokoła zbierali się widzowie. I tu formuje się pierwszy postulat teatru Tadeusza Kantora, który jest nie tylko dekoratorem, ale inscenizatorem i reżyserem całości. Fakt rozgrywania akcji wśród widzów nie jest dla Kantora koniecznością narzuconą przez warunki, ale odpowiada jego wewnętrznej potrzebie nawiązania bezpośredniego kontaktu z widzem. Scena oddala aktora na nieosiągalną, a więc obojętną płaszczyznę. Gdy aktor staje wśród widzów, przemawia jak jeden z nich; rodzi się wtedy u widza uczucie niepokoju, łączności. Każdy mógłby się stać aktorem, stąd aktywny stosunek do sztuki, a nie „pasywne” gapienie się na scenę. Już „Balladyna” wnosi ze sobą wszystkie te elementy, które charakteryzują późniejsze poczynania Kantora, a wybór jej jest tym bardziej godny uwagi, że należy do tych sztuk, które Kantor mógł w pełni zrealizować według swojej koncepcji. Kantor jest malarzem, wyszedł z Akademii Krakowskiej, lecz nowatorstwo jego w teatrze nie ogranicza się tylko do strony plastycznej, sięga daleko głębiej. Teatr Kantora jest integralny, łączy wszystkie elementy, które weń wchodzi, a więc zarówno słowo, gest jak i formy, które otaczają aktora; wprowadza muzykę, ale nie jako ilustrację czy dopowiedzenie — wszystkie te elementy sąją się współzależnymi czynnikami teatru.

Styl inscenizacji stara się Kantor wprowadzić ze słowa, a równocześnie zachowuje ścisły związek między sposobem wypowiedzienia się aktora a formami, które go otaczają. Kantor uważa teatr, jak się sam wyraża, za najprawdziwszą ze sztuk, leży on bowiem między sztuką a życiem. Stąd też zrywa świadomie z iluzjonizmem i zmierza do tego, aby np. powracający Odys nie obracał się w wymiarze legendarnej iluzji, lecz w wymiarach naszej rzeczywistości wśród przedmiotów realnych, to znaczy mających dzisiaj dla nas pewną określoną użyteczność. Kantor chce, żeby Odys w jego inscenizacji współżył z ludźmi realnymi, to znaczy z tymi, którzy wypełniają widownię.

Przedstawienie nie jest dla Kantora spektaklem, widowiskiem, lecz zawiera w sobie cechy żywego teatru, staje na pograniczu sztuki

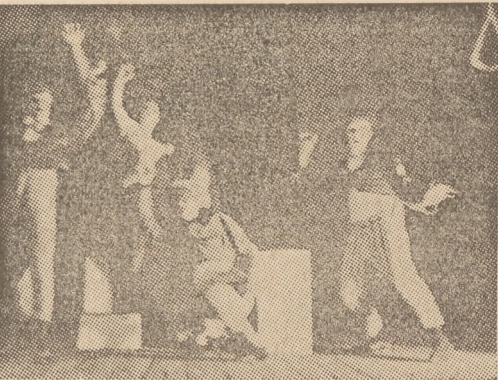


„Dwa teatry” Szaniawskiego — akt III

ki i realnego życia. Ale zrywa on też z naturalizmem, rejestrując pedantycznie wszystko, co się dzieje. Zamierzeniem Kantora odpowiada dawanie widzowi raczej aluzji spraw i rzeczy za pośrednictwem sugestywnych skrótów. W tym ujęciu przedmiot jakby nagłym wytryśnięciem światła wynurza się z otoczenia, przez moment zarysowuje się ostrym, wykaligrafowanym znakiem, by równie nagle pogrążyć się w obojętnym mroku.

Teatr — według wypowiedzi sformułowanej przez Kantora — nie ma dawać złudzenia jakiejś rzeczywistości zawartej w dramacie, ta rzeczywistość dramatu musi się stać rzeczywistością na scenie. „Dramat na scenie musi się nie dziać, ale stawać, rosnać na oczach widza”. Nie jest więc teatr Kantora widowiskiem, ale teatrem, w którym wszystkie jego elementy zachowują swe istotne znaczenie.

Jakaż jest w tym ujęciu rola dekoracji teatralnej? Słowo to, jako przestarzałe, należałoby zastąpić innym. Mieczysław Treter mówił o scenografii, może najtrafniejsze byłoby określenie: plastyka sceniczna. Dekoracja była do niedawna tylko dopełnieniem, oznaczała element zdobniczy, gdy u Kantora przedmiot i formy, wśród których aktor się obraca, mają swoiste znaczenie, grają na równi z akto-



„Niegodzien i godni” Czechowicza

rem, z jego słowem, gestem i z muzyką — jak np. w jego w inscenizacji moralitetu Czechowicza „Niegodzien i godni”. A w „Balladynie” nie ma prawie zupełnie dekoracji, natomiast na czoło wysuwa Kantor kostiumy, które „grają” na równi z gestem i słowem aktora. Stosunek „dekoracji” do innych elementów artystycznych kształtujących teatr jest inny niż dawniej, stała się ona na równi z nimi istotnym współzależnym składnikiem teatru.



„Powrót Odysa” — zalotnicy

Oznacza to pewien zwrot w traktowaniu dekoracji; poprzednio istniała w teatrze polskim preponderancja elementów plastycznych, np. dekoracje Drabika widownia okłaskiwała zaraz po podniesieniu kurtyny przed rozpoczęciem spektaklu. Nie jest to jednak pomniejszenie czynników plastycznych przez Kantora, tylko nowe swoje ich zastosowanie.

Kilka słów należałoby poświęcić charakterystyce tych elementów plastycznych, które wprowadza Kantor. Tkwią one niewątpliwie w świecie dzisiejszej plastyki i zrodziły się ze sztuki kubizmu i surrealizmu, połączenie tych pierwiastków odpowiada najlepiej intencjom artysty. Kantor ma skłonność do operowania najprostszymi środkami, po prostu wyzyskania przedmiotów i rekwizytów, które znajduje w teatrze. Teatr Kantora bowiem dziać się może nie tylko na scenie; „Balladyna” zrealizował on w prywatnym mieszkaniu, a teraz marzy mu się teatr w fabryce i to nie z aktorami zawodowymi, lecz po prostu z ludźmi chętnymi, skłonni do entuzjazmu. Użycie prostych środków do skonstruowania rzeczywistości plastycznej na scenie jest



„Balladyna” — scena sądu

ostrym kontrastem z niedawnym jeszcze dążeniem do przepychu i świetności wystawień sztuk. Np. w trzecim akcie Szaniawskiego „Dwa teatry” irrealności akcji doskonale odpowiada pozornie przypadkowe rozstawienie przedmiotów i rekwizytów.

W inscenizacji „Balladyna” dał Kantor doskonałe zespolenie elementów słowa, gestu i „dekoracji”, ograniczonej do kostiumów, będących w swym ukształtowaniu plastycznym równocześnie symbolem, czy raczej naznaczeniem postaci. „Balladyna” była pełnym wypowiedzeniem się młodego artysty. Równie doniosłe znaczenie ma wystawienie „Powrotu Odysa”, także jeszcze za czasów niemieckich, a następnie przeniesione na scenę studia teatralnego we wrześniu 1945 r. Przedstawienie nie spotkało się z należytych oddźwiękiem u publiczności, dla której to nowe ujęcie Wyspiańskiego i zaaktualizowanie jego problematyki było trudne. Być może całość wskutek pewnych męczących dłużyzn nie posiadała tej jednolitości co „Balladyna”, lecz samo ujęcie motywu, jego przeprowadzenie oraz kilka wprost kapitalnie przeprowadzonych scen (np. z zalotnikami) dały silne wrażenie. Nawet ta „oporna” publiczność, która nie chciała się pogodzić z inscenizacją Kantora, długo jeszcze po opuszczeniu teatru dyskutowała nad problemami, przed którymi postawił ją artysta.

Równie śmiałym eksperymentem było wystawienie wspomnianej już rzeczy Czechowicza „Niegodzien i godni” przez Teatr Młodzieży Akademickiej w sierpniu 1945. Postulat połączenia wszystkich dziedzin sztuki dla

przedstawienia utworu na scenie został logicznie i konsekwentnie przeprowadzony. Słowa poety, postacie aktorów, plastyczny wyraz ich wyglądu, każdy ruch i postawa, współdziałanie gry światła i muzyki — stały się współzależnymi elementami sztuki. Nawet martwe dotychczas obiekty rekwizytów, zredukowane tylko do tych, które mają wpływ na akcję, współdziałały w niej na równi z postaciami. W sztuce Czechowicza zrealizował Kantor w pełni swoje postulaty.

Ostatni sezon teatralny dał szereg nowych sztuk z dekoracjami Kantora. Do najciekawszych jego osiągnięć zaliczyć trzeba „Przejrzały oczy nasze” Karczewskiej w teatrze im. Słowackiego i „Dwa teatry” Szaniawskiego u Adwentowicza. Krytyka stwierdzała ich wysoką wartość artystyczną, nie umiała jednak uzgodnić ich z całością inscenizacji. Wyobraźnia plastyczna a zarazem inscenizacyjna Kantora wyprzedzała wysiłki reżyserów. Uwagi te nasuwała zwłaszcza realizacja trzeciego aktu w „Dwu teatrach”, co w rezultacie nie dawało należytej koordynacji wszystkich elementów. Wydaje mi się, że Kantor nie został tu w pełni zrozumiany, na czym ucierpiała inscenizacja.



„Balladyna” — scena zabójstwa

Wyrazić należy nadzieję, że w nowo układających się stosunkach teatralnych znajdzie Tadeusz Kantor warunki realizacji dla swych zamierzeń.

Helena Blumówna

Wśród książek

Wykłady lubelskie

Towarzystwo Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Wykłady i Przemówienia. Nr 2. Juliusz Kleiner. Tragizm. Lublin, 1946; str. 16. — Nr 5. Jan Parandowski. Literatura a współczesność. Lublin, 1946; str. 16. — Nr 9. Stefan Kawyn. Zagadnienie grupy literackiej. Lublin, 1946; str. 66 i 2 nl.

Towarzystwo Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego w cyklu „Wykłady i Przemówienia” ogłosiło trzy książki, które mogą zainteresować czytelników.

Profesor Juliusz Kleiner głęboko ujmując zagadnienie tragizmu. Wychodząc z założenia, że miarą wielkości człowieka jest postawa wobec śmierci, dochodzi do wniosku: „Tragiczna jest przedwczesna a nieuchronna zagłada osobistości wartościowej. Tragizm to konieczność przedwczesnego zmniejszenia wielkości”. Wśród różnych odmian tragizmu dostojne miejsce zapewnia tragicznemu konfliktowi wartości niezdołnych do współistnienia.

Jan Parandowski wypowiedział nadzieję, że pisarze polscy znajdą się wśród przedchorągiewnych w walce o duszę świata. Nadzieja ta już się spełnia. Przemówienie swe wygłosił Parandowski rok temu, kiedy nie pojawiła się jeszcze ani jedna książka poświęcona i ze sporów literackich można było wnioskować, że literaci będą starali się omijać „strefy ulęwy i grzonoty”. Parandowski słusznie domaga się, aby literatura skoszystała z doświadczenia, jakiego nie zaznała stulecia, kiedy zajrzeliśmy w dno upadku człowieka tak przepastne, że u Dantego nie znaizaboby się symbolu na jego miarę.

Stefan Kawyn przekonująco dowodzi zaniku samotniczego typu pisarza. Analiza tendencji uspołecznienia w życiu literackim, zewnętrznych i wewnętrznych czynników wspólnoty, doprowadza do definicji, co to jest grupa literacka. „Grupa literacka — według Kawyna — jest to zbiór osób oddających się twórczym zajęciom literackim, celowo z sobą związanych świadomością różnych rodzajów wspólnoty grupowej oraz poczuciem, że stanowią przez układ stosunków wewnątrz grupy całość odrębną”.

Kawyn wyróżnia grupy: profetyczną, jednolitą, połączoną wiarą poetycką, jednakim poglądem na świat, nawet jednym stylem; grupę praktyczno-ekonomiczną, dla obrony interesów materialnych; grupę otwartą i zamkniętą, dynamiczną i statyczną, o wąskim i o szerokim zakresie tematowym. Potem zajmuje się wewnętrznym życiem grupy, wreszcie ustala główne typy grup literackich. Mamy więc grupę awangardową, z pokrewnymi w pewnej mierze „cyganeria literacka” i grupą kultową; grupę obrońców stylu dotychczasowego; skupienia literatów wobec wydawcy; grupy na zasadzie rodzaju literackiego (np. Z A D); zawodowe związki literatów; rodziny literackie i wiele innych. Kawyn o każdej grupie umie powiedzieć sporo ciekawych szczegółów, a choć nie można się zgodzić bez zastrzeżeń na niektóre z określeń, zasługą bystrego krytyka będzie nagromadzenie tak obfitego materiału do dyskusji.

Biblioteka „Zarania Śląskiego”

Biblioteka Zarania Śląskiego Nr 1. Henryk Barycz. Uniwersytet wrocławski w przeszłości i teraźniejszości. Katowice, Instytut Śląski, 1946; str. 32. — Nr 2. Józef Widajewicz. Świętopełk Morawski a Bolesław Chrobry. Tamże; str. 22 i 2 nl. — Nr 3. Michał Ambros. Bibliografia Śląska, jej stan obecny i zadania na przyszłość. Tamże; str. 30 i 2 nl. — Nr 4. Tadeusz Dobrowolski. Najstarsze drewniane kościoły śląskie jako znaki zamierzonej przeszłości. Tamże; str. 20. — Nr 5. Gustaw Morcinek. Wróżbita. Tamże; str. 46 i 2 nl.

Ruchliwy Instytut Śląski przystąpił do wydawania jeszcze jednej serii. Są nią małe, różnokolorowe książeczki, które przynoszą najciekawsze pozycje z ostatniego numeru kwartalnika „Zaranie Śląskie”. Biblioteka liczy na czytelników interesujących się specjalnymi działami kultury, którzy chętnie będą kompletowali tomiki z historii, sztuki, czy literatury.

Henryk Barycz daje zarys dziejów uniwersytetu we Wrocławiu, ujmując szkic w cztery rozdziały, kreśląc próbę stworzenia śląskiego, czterowydziałowego uniwersytetu w latach 1505—1507, potem dzieje akademii jezuickiej w latach 1702—1811, wreszcie działalność państwowego pruskiego uniwersytetu od jesieni 1811 do wiosny 1945 r. Ten trzeci rozdział jest najciekawszy i wykazuje, jak ważnym ogniskiem niemieckich dążeń narodowo-politycznych było naukowe środowisko wrocławskie, w którym działał również twórca obłędnego hymnu „Deutschland, Deutschland über alles”, Hoffman von Fallersleben. Ostatni rozdział interesującego szkicu Barycza rejestruje dotychczasowe sukcesy polskiego uniwersytetu we Wrocławiu.

Józef Widajewicz przeprowadza ciekawą paralelę historyczną między władcą Moraw w IX w. a Bolesławem Chrobrym. Okazuje się, że mieli podobny rozmach zdobywczy, wiele wspólnych sposobów wojowania, obydwoj nienawidzili Niemców i ciążyli ku kulturze zachodniej, tak samo dążyli do jednoczenia Słowian. W jednym punkcie zaznaczyła się tylko różnica: Świętopełk królem nie był, a Bolesław osiągnął tytuł króla w zachodnio-europejskim znaczeniu.

Michał Ambros zestawia dotychczasowe zdobycze bibliografii Śląska, omawiając prace polskie, niemieckie i czeskie; informuje o poczynaniach Biura Bibliograficznego, powołanego do życia przez Instytut Śląski i bardzo rozsądnie planuje najważniejsze jego zadania.

Tadeusz Dobrowolski zdobywa się na ciekawą, pierwszą w naszej nauce próbę odtworzenia, jak mogły wyglądać najstarsze, drewniane kościoły w Polsce i jakim podległy ewolucjom. Kwestia wyglądu takiego kościoła zaczęła się krystalizować u badacza po dokładnym poznanu górnośląskiej grupy kościołów drewnianych.

Gustaw Morcinek opowiada, dość dokładnie, o swym przyjacielu z obozu Owsiaka, obłędnym i kolorystycznym, który ratował się przed śmiercią sztuką wróżenia, sam sobie jednak losu nie umiał wywróżyć.

Stefan Pape

JULIAN PRZYBOS

Z linii widnokregu

Spoglądając — z jasnozielonych, prawie że seledynowych skoszonych łąk wzrok leci wzdłuż łukami zielonobłękitnych wzgórz, jak od iskry odpryskuje na mgnienie musnąwszy pologi stok spływający łanami owsów — płoną zapalone z obłoków wędrującą plamą słoneczną — by po rysach nałożonych na siebie, jedno za drugim, wzniesień i wierzchołków, wyżej, w ostatnim polocie, spocząć na lesistym szczyście objętym przez niebo przesuwane i srebrzone przez obłok. Oto jeden wyniosły świerk — szczytowy okrzyw zielonosinej odległości — utrwala na chwilę ten krajobraz górny i polotny — i już niecierpliwa pamięć i trwałe żądza widzenia przewija przez linię i przesyca kwiatniejszymi kolorami ten widziany kontur ziemi tamtym ujrzanym na zawsze — w dzieciństwie. Jak w twarzy dziecka rysy i kolor oczu ojca — dostrzegam w krajobrazie Kudowy linie dalekiej mojej miejscowości rodzinnej. A potem — spadłszy spojrzaniem na najbliższe plamki pejzażu, na dachy o czerwieni tak jasnoelekcyj, że — zdaje się — unoszą jak skrzydła chłodniejsze barwy z dolin w róże obłoków obrzeżone na krawędziach prześwietlonym srebrem — odkładam opisujące pióro. Oto — z powietrza? z pamięci? z upartej złydy wysiłonych oczu? — otaczają, okrążają mnie coraz nowe, inne, widziane kiedyś widnokregi, kołują nad głową, lekkie — błękitniejące i promieniejące — jak sersa wirujące nad główkami dzieci. Nie potrafię zatrzymać widzeń tych linii i barw, narzuconych na jedynie zniechęconie oblicze ziemi, które ogarnia i wchłania moje istnienie tu, w tej godzinie zadumy.

Nie. Nie rozpuszczę tych opisujących zdań jak zakurzonych flag rozwijanych na wieżach na uroczyste przepisane święto. Tak mógłbym toczyć zdania dalej, krasieć je nazwami barw, kształtów i światła, owiewać je mianami zapachów tchnących z łąk, zbóż i lasów, tak mógłbym toczyć obrazy na wielkich kołach wzgórz, coraz dalszych, coraz wyższych, amfiteatralnie wzniesionych nad głową pod wlatującym niebem...

Nie. Nie potoczę staroświeckiego wehikułu, którym podróżują — spoczywając — od zeszłego wieku.

I nie przeczytam nigdy takiego opisu, żeby krajobraz spełnił moje widzenie konturu ziemi. Niecierpliwa gwałtowność mojego patrzenia nie zniosłaby czasu, wyobraźnia uprzedzałaby każde nazywające słowo, barwiąc je i kreśląc formy wyraźniejsze i wieloznaczniejsze, niż te, które zamierza podać jednorazowa pomoc słów.

Tkwi jakiś fałsz, jakiś nieuchronny błąd w każdym opisie. Jak w świecie fizyki kwantowej uwzględni się niepewność wynikająca ze stosunku między tym co mierzymy a sposobem mierzenia, tak w opisie jątrzy i niecierpliwi zniekształcające działanie słów, gdy jedno — momentalne — powinno spełnić opisywane zjawisko. W jednym błysku, tak jak w nagłym rozwarciu oczu — winno ukazać, objawić cały krajobraz.

I to jest marzony cel poety. Przekroczyć powolny ciąg wyobrażeń rozwijanych przez orzekającą prozę; przeskoczyć przez szerokie obrazy przedmiotów i postaci; przelecieć przez ruchliwy jarmark zdarzeń i w jednym rzucie całego swojego istnienia — urzeczywistnić. Niech jedno zdanie, tak poruszone, roztańczy wyobraźnię czytelnika chyżej i namota treści więcej, niż rozdział powieści. Niech słowo nie wskazuje, lecz daje, niech zdanie nie wyraża, lecz wraża. Linie i barwy krajobrazu niech żyją — hienazwane — wśród słów, niech widnieją między wierszami, a sam poemat niech będzie, jak horyzont, wszechogarniający i wszędzieobecny jak niebo. Niech czułość — nie wdycha wiolokropkiem, patos — nie huczy wykrzyknikiem, ale niech krąży w układzie słów, niewidoczne jak krew w tętnicach.

Choćbym przemalował opis tego krajobrazu nazwami barw widzianych ścisłym okiem malarza, choćbym zużył słowem całą paletę impresjonisty — sfałszowałbym prawdę jedności i bezpośredniość widzenia. Barw w poezji nie wywołuje się nazwaniem. Widzenia ogrodu nie dadzą wariacje nazw zieleni. Są wiersze, co kipią od zielonych bujności i toną w trawach, a zieleni w nich ani razu nie nazwana. Bo tajemnica tkwi nie w nazwie, ale w tak ożywiającym porwywie wizji, żeby, gdy trzeba, kwitła kolorami wyobraźnia i tańczyły linie.

I tu należy szukać najbliższych znamion pokrewieństwa poezji i muzyki, poezji i malarstwa. Utwór poetycki jak kompozycja muzyczna kształtuje i rozwiiera wizję od razu, lecz nie znika, trwa bezpośrednio obecny jak obraz malarski. Nie warstwa fonetyczna, nie nagromadzenie powtarzających się dźwięków czyni poezję bliską muzyce, dźwięczną, muzyczną; brzękliwość świadczy tylko o niewybrednym uchu. Nie mianowanie nazwami kolorów czyni wiersz malarskim. Wiersz dźwięczy muzyką i kwitnie malarsko wtedy, kiedy jest najbardziej poezją. Wszystkie Muzy spotykają się na szczyście Parnasu, zamierzając tam ze sobą potajemnie dary.

Jako dzieło sztuki — co daje powieść? Powieść nie współczesna, a więc nie wzbudzająca namiętności dnia dzisiejszego, a więc okrzepła już jako forma? Próbuję przywołać to, co trwałe (a więc istotne?), co towarzyszy mi na zawsze jako dowód przeczytanej powieści, co nie opuszcza nawet wtedy, gdy zapadła w niepamięć fabuła. Pozostaje coś jak wiersz umiarty na pamięć. Wizja czaje szarego i spleśniałego — to Madame Bovary. Z takiej wizji zaczął Flaubert swoje dzieło i taka ostaje się po lekturze, towarzysząc przez życie temu, kto przeczytał.

Słońce! Obłoki zwiane na krańce — jak nalożone szarosrebrny — opuszyły najdalsze linie widnokrepu i światło południa pieni się w przepaści przestrzeni. Od słońca w zenicie do najniższego stawu w kotlinie drży milionostrunna pogoda. I jakby wibracja upalnego powietrza wprawiała się w dźwięk — ze ściernisk grają cykadę, grają? czy stroją promienie? wyciągają jak strunę powietrze? Linia leśnego widnokrepu na tle ulatujących obłoków odkreśla się ultramaryną, wyraźniej. I zjawia się to, co, by uniknąć bladej nazwy: tęsknota, określe jako ciąg oddali.

Nie znam na ziemi obrazu potężniejszego i głębiej symbolicznego niż obraz przekraczania widnokrepu. Ten moment, kiedy na tle światającego lub zmierniczającego nieba człowiek, widziany z miejsca położonego niżej, z nagłą — ogromnieją — jakby łagodną rozłąką nieba z ziemią, przenika linię horyzontu, by — jeden krok — zapaść się w niewidziane i niewiadome. Jest w tym widoku treść najbardziej ziemską, krok oracza i siewcy, gdy oglądany na stoku góry, sprawdza stopami i dłońmi — po stokroć, nieznuzenie dokładnie — powierzchnię, którą wzrusza i ożywia. I jest w tym znak wędrowca i poety, odkrywcy i rewolucjonisty, tych którzy żyją aż tak, aby tylko przekraczać widnokrepu... Aby każdym aktem swojego życia, aby każdym stąpieniem mijając widziane, osiągnięte, władome. Aby odkrywać to, co leży wciąż dalej, wciąż poza, aby odsłaniać za widocznym widnokrepu widnokrepu niewidziany, a zdobywszy go, znowu zbliżyć się do kresu tego co zdobywalne, a zawsze niezdołbyte. Jak długo woła ten nieskończony ciąg oddali, tak długo żyje w człowieku to, co w nim wyżej i dalej ludzkie. Bo cóż znaczy wyraz „tęsknota“?

Ciąg oddali inaczej waży w dzieciństwie, inaczej przemawia do wieku dojrzałego. Widnokrepu, który nas określił w dzieciństwie, jest tym zarzosem wizerunku ziemi, który zapada w oczy na zawsze, z którym, znalazłszy się potem nawet w najdalszym, najbardziej innym krajobrazie, nie rozstaniamy się nigdy. Krajobraz dzieciństwa towarzyszy jako widomy skrót ojczyzny do końca naszej wędrówki.

Gdziekolwiek byłem, czułem zawsze wokół ramion swój rodzinny widnokrepu. Składał się jak skrzydła — gdy znaleźliśmy się w padole nizin, w górach — wystarczyło mi go tylko unieść nad głowę, aby przemienił się w pionowy horyzont Alp. Ziarno miary własnego kraju posiano w naszym wzroku dziecka. Tak jak czuły syn przeróżny ojca nigdy nie zmierzy go z góry, bo jako młody wdział ojca obrzymim — najpiękniejsze i największe obrazy cudzej ziemi nie umniejszą uroku i wielkości kraju lat dziecińczych.

Zasłona widnokrepu kryje w dzieciństwie kraj baśni, tę nigdy nieosiągalną, bo jakby dawno już spełnioną, czarodziejską krainę za siódmą górą. Jest ona również nachyłona ku dziecku jak nieboskłon i trzeba tylko iść na przód i naprzód, by dotknąć jej, jak nieba, czubkiem głowy, lub dłoń wyciągnąć i tknąć jak bańki mydlanej. O, rozczarowanie, gdy osiągnięty horyzont odsłakuje w oddal, żeby zatrzymać się na dalszym wzgórzcu, gdy znowu woła na całą otchłań błękitu, by biec dalej i dalej, by go schwytać!

Widzę — za każdym dalszym pagórem wieloskrzydłowy ptak przestrzeni uciekał mi w dzieciństwie tak szybko, jak szybkim był ruch oczu wychylonych nad krawędź osiągniętego horyzontu. Uciekał, ginął w oddali, aby natychmiast rozwinąć spokojne skrzydła na dalszym wierzchu gór. Długo oczekiwany czar niki w jednej chwili — i prawie w tejże samej chwili ustalał się jako oczekiwanie czaru.

Tak oto — przestrzenie, od ogarnięcia wzrokiem i ruchem, od jednego widzenia ziemi do drugiego i jeszcze wciąż dalszego — widnokrepu był dla mnie ustawicznie obecna tarcza ogromnego zegara czasu. Nie słońce było wskazówką tej tarczy, nie rytm dni i nocy oznaczał na nim mój czas. Poruszały go i nie przerywały go wymiernością biegające coraz dalej linie wzgórzystego horyzontu. Moje poczucie czasu poczło się w tym momencie, kiedy po raz pierwszy wychyliłem głowę poza górę, u której stała moja chałupa rodzinna.

To, że jasno widoczny, upragniony kres, z chwilą, gdy został osiągnięty, stawał się niewidocznym początkiem dążenia do kresu, gubiło w moim odczuciu pojęcie przeszłości i przyszłości. Istniałem — może inaczej niż zwykle dzieci, a na pewno inaczej, niż dzieci

z równin o zagubionym horyzoncie — tylko w czasie terazniejszym. Ten czas czy bezczas, po pierwszych wejściach na linię widnokrepu nie mierzył oczekiwania, nie dzielił mnie na wspomnienie i marzenie, był jednym i drugim.

Ustawiczne zwieranie się całości widzianej nie opuszcza mnie w najszybszej głębi doświadczenia i teraz w wieku dojrzałym; ujawniła się w poezji. Zapadają się w niej lata praktycznego czasu, mierzonego troskami i pracami, zapominam — nie: przypominając zapominam — wyzwalam się jak z ułudy, co do której tylko udawałem że wierzę, z poczucia że żyłem. Wylała się, gdy piszę, coś co nazwałbym nie czasem, lecz obecnością. Pojęcie początku i końca wydaje się wtedy błędem perspektywy. Czy dlatego dąże, by każde miejsce w moich wierszach było równie rozległe, a napięcie poetyckie towarzyszyło wszystkim zdaniom od początku do końca jakby nie było przemijania? Jakby najdawniejsze wzruszenia poetyckie miały prawo ożywać od terazniejszych i różnieć od nadziei nie przeżytych jeszcze doznań poezji? Jakby jedynie wzruszenia poetyckie (wzruszenia pięknem chwytanym w więź ze słów) miały siłę wywołania uczuć minionych, uczuć, którymi obdarza i dręczy życie?

Rytm tej obecności (czasu) jest zmienne. Zmienność rytmu czasu zależy od tego, z jakim doświadczeniem już przeze mnie widno-

kręgiem wiąże nowo ujrany, w którym zamkam aktualnie swoje życie. Swoją przeżywaną czas nastawiam na nową przestrzeń, bo jest tak, jakby każdy krajobraz wymagał inaczej idącego zegarka. Lecz wskazówki tych zegarków spotykają się ze sobą, przyspieszają lub opóźniają doświadczenie czasu. Wystarczy wrócić do porzucanego widnokrepu, aby wrócić i rytm przeżywanego tam kiedyś czasu, dziejąc się — w akomodacji oka? w biu serca?

Oto uderza on jak w widnokrepu Gwoźnicy, tylko powolniej o rozległość tego krajobrazu, który teraz niesie moje oczy. Od łagodniejszych wzgórz dotykających granicy czeskiej ku wynioślejszej i łamliwszej linii horyzontu na wschodzie. I jak rozchylane żyto, gdy w poszukiwaniu gniazda przepiórki nurkowałem w dojrzałym łanie, odtwarzam we wzroku drzewiaste pejzaże zgęszczone w ruchu wyobraźni, które minąłem jadąc do Kudowy. I znajduję znowu rysy podobne: widnokrepu Ustronia i Wisły. Stąd, z oddali dwustu kilometrów, widzę widnokrepu tarczę czasu, który zaczął poruszać moje dziecko. Czy uchyliła już dłońką odniebnej linii Równicy, aby dojrzeć za tą pierwszą górą kraj za górą siódmą kraj, w którym odczyniam jej nowe i moje te same stare czary ja?

Kudowa, w sierpniu.

Julian Przybos

HANNA MORTKOWICZ-OLCZAKOWA

Nekrolog bezimienny

Wysoka topola koło domku woźnego Smołańskiego, w tym miejscu, gdzie wchodził się na teren Politechniki Warszawskiej od strony Koszykowej — zżółkła, osmała przez wybuchy i jej pierzasty czub szarpany na wszystkie strony i częściowo odarty z liści, wyglądał opłakanie. Ułamił pocisków, gruz i szklane szkło szyb, a także bele z porabianego strychu i worki naphane piachem zalegały miejsce przed domem. Barykada, ostatni w tym miejscu bastion obrony na granicy polskiego władania, wznosiła się tuż obok. Góra ponad nią z ustawicznym zjadliwym świstem przelatowały kule. Obstrzał szedł z bunkru przy Ministerstwie Komunikacji, z okien Szkoły Pielegniarek i z innych gmachów zajętych przez Niemców wzdłuż Alei Niepodległości.

Nie było to miejsce bezpieczne. Kof, zabity w pierwszych dniach, długo leżał na środku jezdnii, rozkładał się i cuchnął i nikt nie mógł dotrzeć do niego, by go zabrać lub spalić. Chłopak, który ofiarnie zaprzagnął nam donieść chleba i ogórków i lał na czworakach w poprzek ulicy — dostał kulą w brzuch i zaledwie zdolał doczołgać się z powrotem do domu, by tam umrzeć. Jeden z naszych politechnicznych „chłopców“ — dzielnik, przedsiębiorca architekt Zbawieński (jeśli dobrze zapamiętałem jego imię) dobiegł dopiero po śmierci, nazwisko wysunął tylko na moment głowę poza osłonę muru, by sprawdzić kierunek kopanych przez siebie rowów i przypłacił ten brak rozważli śmiercią. Właśnie przedwczoją pochowaliśmy go uroczystie koło kreślarni, na kartoflanych zagonkach.

Ale wbrew temu wszystkiemu, tu, pod tą ścianą, na kawałeczku miejsca osłoniętym barykadą, panował sierpniowy. Uchyliwszy się, kucnąwszy, można było tam przemycić nie tylko swoją zbiedzoną i zamorusaną osobę, steraną w piwnicznych brudach i wysiłkach, ale i leniwe poczucie ciepła i słodczy, coś w rodzaju nielogicznego bogostanu.

Cywilie rzadko kiedy wylaniali się z ciemnic. Natomiast „chłopcy“, sanitariuszki i łączniczki, w chwilach wolnych od służby korzystali w pełni z sielankowości tego miejsca. Nawet wartownik czuwający, na zmianę, dzień i noc przy barykadzie, odpinał chwilami płaski zdobyczny hełm z przemalowanym czerwono-białym paskiem w koło, odstawał kb, wściekle zacinający się kb, do którego nigdy nie było pod dostatkim „pestek“ i zamykał z ulgą, choćby na krótko, oczy pod blask słońca.

Wielki oleander przed stróżówką, w środku trawnika, mimo że nie podlewany, kwitł różowo i jaskrawo. Rzykując, można było przynieść pomidory z sąsiednich grządek, na których warzywa i ziemniaki niszczały pod nieustannym obstrzałem. Wtedy sok zalewał gardło i dusił po prostu słodczy ułmierzającego, zmarnowanego lata.

Któregoś dnia przesunięto pod samą ścianą, w miejsce najzupełniej osłoniętej, małowaną olejno ławkę ogrodową. Obok wartownika znalazło się wtedy wolne miejsce — dla zbierających się tu, by czytać głośno gazetki, dla flirtujących z łączniczkami, dla ufnych, dla śmiających...

Ta ławka, której spękaną olejną emalię tak mocno rozgrzewało słońce, że stawała się aż parząca — była najmilszą wilegiaturą nasze-

go ówczesnego życia, klubem towarzyskim, miejscem zapomnienia i wylotem na świat.

Na niej właśnie, grzejąc się w słońcu, słuchaliśmy — wspólnie ze strzelcem Lanca, pełniącym właśnie warę — dwugłosu kul karabinowych i fortepianu. Kule śleły wciąż okoliczne ściany i ziemię z uciążliwym bzykiem.

Z lekkomyślnym uporem i prawdziwie po warszawsku — na jednym z wyższych pięter sąsiedniego domu — grano Chopina.

Przed kilku dniami skonczono rycie podkopu na przeciwległą stronę ulicy i strzelec Lanca, który na imię miał Kazik, zwierzył mi się, że był już w tym domu po parzystej stronie Koszykowej. Ze wypróbował nawet instrument i wie, że grająca panna jest bardzo ładna. Teraz będzie tam chodzić częściej, bo i pograć przyjemnie, no i ta panna...

Poprzed muzykę zesłała rozmowa na zainteresowania, na upodobania, na prawdziwą treść życia tego dużego śniadego chłopca.

Byliśmy wtedy wszyscy bezimienni, skryci pod fikcją umownych imion — byliśmy wszyscy równi, szeregowani wobec ogromu podobnych niebezpieczeństw i obowiązków. A jednak to słońce, ten zapach i smak istniejącego mimo wszystko sierpnia wyciągał z nas treść istotną, sam sok życia, sam miąższ myśli i odczuć.

Nokturn Chopina grany na czwartym piętrze domu naprzeciwko, zgniecioną, źle rozcięta książka Żeromskiego, czytana przez Lancę na warcie, były w tym stanie rzeczy również paradoksalne, jak to, że jeszcze wciąż żyjemy i to nie tylko żyjemy, ale czujemy i myślimy.

Ponad poziom codziennych i monottonnych naszych rozmów o sytuacji w mieście, o stanie amunicji i aprowizacji, o Mikołajczuku, Borze, opieszałości Anglii i zrzutach — wykwitł temat zupełnie nowy i jak się okazało najważniejszy. Kazik zaczął rozmowę od Żeromskiego, od „Przedwiośnia“ i „Słowa o bandosie“, od konfliktów robotniczych, od tego miasta Łodzi, w którym się urodził i w którym rósł do zrozumienia potrzeb i dążeń proletariatu. Zboczył potem w kierunku kilku treściwych relacji o sobie samym, podanych z dziecięcą chępliwością i drobniawością zawsze pewnego cudzej sympatii jedyńca. Miał się zresztą czym chwalić i wykrzywiać, w krótkich latach swego życia umiał zmieścić bardzo już dużo pragnień i urzeczywistnień. Świadczyły o tym nie tylko chlubnie zdane egzaminy, studia wojskowe i muzyczne, ale i ten ciemny, namiętny błysk zachwyty w oczach, gdy mówił o podróży i przyszłości, o muzyce i pracy...

Potem ta praca, jako jedyna treść życia i jego usprawiedliwienie, objawiła się w przyszłych planach. I okazało się, że dla niej, i to za wszelką cenę, należy przeżyć...

Często rozmawialiśmy w tym czasie z „chłopcami“ o tym, jak to będzie po wojnie. W perspektywie niepewnej przyszłości tasowaliśmy dzisiejsze śmierci i przyszłe powołania jak wózeczki karty. Ale niczyje zamiary nie miały w sobie takiego poczucia odpowiedzialności, takiej pasji i powagi, jak słowa Kazika. Miłość? Dziewczęta? Nie można zaprzeczyć, i to było w planie... Pianistka z czwartego piętra była zdecydowanie ładna. Łączniczka Krysta trzęsła zalotnie jasnymi lokami i nie skąpiła pocałunków...

Tego właśnie dnia, kiedy zaczynało się już zmierzchać — młode towarzystwo na ławce zapragnęło nawet tańczyć. Przekopami, rowami, a nawet i górą biegały dziewczęta w nie cierpiącej zwłoki sprawie korbki od patefonu. Wydostano z jakiejś zdekonspirowanej spiżarni (w trzecim tygodniu powstania nie znaleźmy jeszcze słowa „szaber“) dwa wspaniałe słoje z konfiturą wiśniową i cały papierowy wór cukru w kosikach.

Raczono się rozrzutnie tymi smakołykami. Ktoś cicho nucił... Potem, gdy znalezione już w końcu, na trzeciej ulicy — płyty i membranę, zaperliły się melodią tanga i walce... Chłopcy i dziewczyny objęli się ramionami, tak jakby jeszcze na chwilę przed końcem świata chcieli się przytulić do siebie, zaznać ciepła i zbliżenia, poddać melodyjnym rytmom. Zapachniała po przedwojennemu, kusząco i słodko, maciejka na pobliskich grzędach. I znów w tym małym kącie między grobem a barykadą, na tym umownym, zagrożonym przez rzeczywistość rąbką sierpnia i młodości — letnie szczęście, słodczy wakacyjnych wieczorów, zakwitły pod osypującymi się gwiazdami.

Był to wieczór 20 sierpnia 1944 roku. To jest jednak straszne, że ciągle jeszcze zbyt wzruszeni i zbuntowani, by pokusić się o syntetyczne ujęcie powstania — każdą nową próbę pisania o tamtych czasach zamieniamy w nekrolog. Tym potworniejsze — że całkowicie uzasadnione.

Była już noc, kiedy umilkły — zbyt może beztropkie i już za bardzo prowokujące wroga — melodie taneczne pod barykadą. Była jeszcze wciąż ta sama noc — kiedy poległ, broniąc swymi porządkiem i zacinającymi się karabinami i kaemami gmachów polittechnicznych, szturmowanych przez Niemców od strony Alei Niepodległości.

Biegając chyłkiem w ciemność wybuchającą błękitnymi ogniami, pod morderczym ostrzałem czołgów prażących od Koszykowej i Chałubińskiego — minęłam wtedy i przegoniłam strzelca Lanca. Nie wiem, gdzie w tamtej chwili stał, jak walczył, czy żył jeszcze. Później dowiedziałam się, że poległ tej samej nocy. Granat zniósł mu cały wierzch czaszki. Mówiono mi, że umierając krzyczał „mamo“.

Nie. Nie chcę pisać nekrologu. Nie chcę rachować, ilu ich padło, kto ocalał, jak się nazywał... Nie umiałabym zresztą powtórzyć prawie żadnego nazwiska. Nie chcę wspominać tych wszystkich co poległ właśnie wtedy, „chłopców“ z tego samego domu: Mietka jasnowłosego, wyniosłego i smukłego jak nordycki półbóg, ciemnokłosego, opalonego Andrzeja, którego uśmiech iskrzył się nadzieją, rosłego, pogodnego Piotrusia...

Chcę tylko przypomnieć w świetle tej bliskiej i nieodwołalnej śmierci rozmowę, którą prowadziłam ów, nieznanym mi z nazwiska Kazik, pod pseudonimem Lanca, na parę godzin przed świtem, którego nie miał dożyć.

Wypuścił wtedy z objęć umiędniejącej dziewczynę. Odszedł na bok. Zapalił papierosa, spoważniał... Było cicho, kancznada umilkła na chwilę, jak to bywa przed burzą. Niebo zapowiadało coś mrownieniem się gwiazd.

Spojrzałam z bliska w pociemniałą twarz młodego powstańca i wyczytałam z niej mękę i sprzeciw.

— Ja to wszystko rozumiem — powiedział z wysiłkiem. — I ja przecież nie ociągałem się, poszedłem na pierwszy apel, będę walczył do końca... Ale, proszę pani, ja nie mogę myśleć, bo wtedy ogarnia mnie przerażenie. Co my właściwie robimy, co to jest to nasze powstanie, ta walka, ta wojna w ogóle... Jaki to bezsens, który wybuchł w samym środku naszej nauki, naszej roboty? Co to jest, co nas trzyma pod swą władzą? Skaczymy od krzaka pod krzak, czaimy się, podrywamy, strzelamy do celu, zabijamy ludzi. Musimy to robić. Czasami wydaje mi się, że jestem małym chłopcem, który się bawi w żołnierzy, albo w Indian. Kiedy indziej czuję, że ogarnia mnie obłąd. Ja nie mam na to czasu, rozumie pani... Nie mam czasu...

— A jednocześnie wiem jedno — powiedział cicho i głucho — że to jest bardzo polski i bardzo wieczny dylemat i że nie rozstrzygniemy go nigdy w teorii. Od tego jest praktyka. Mogę czuć, a nawet mówić to i owo, ale przecież poszedłem... To jest silniejsze od nas wszystkich, chociaż może obłądne i wcale nie wiem, czy potrzebne. Ja poszedłem i może zginę... Ale jeśli nie zginę — to biorę tu panią na świadka. Jeśli nie zginę, będę pracował jak koń — przez całe życie. Ofiaruję swe życie po to, by zwalczać wojnę, możliwość przyszłej wojny, żeby gruntować pokój świata. Właśnie w imię tych prac niewykonanych przez miliony słusznie poległych, w imię tej pracy, którą zaniedbuję teraz, stojąc tu z karabinem na warcie. A jeśli jednak polegnę, to widocznie i tak trzeba...

Jest znowu sierpień. Niebo pała szafirem. Ktoś naprzeciwko gra nokturn Chopina.

Poległ. Nie chcę pisać bezimiennego nekrologu. Nie chcę nawet komentować, ani uogólniać zdań, wypowiedzianych na granicy życia i śmierci, w ciemności podszytej męką. Ale w treści ich brzmią mi po dziś dzień akcenty ślubowania.

I teraz dopiero uświadamiam sobie, że może właśnie dla tych paru słów — napisałam dziś to powstańcze wspomnienie.

Hanna Mortkowicz-Olczakowa

BOGUSŁAW KUCZYŃSKI

Notatki angielskie

Londyn, w sierpniu 1946 r.

CZARNI I BIALI

W Ameryce, która ma być rzekomo wzorem demokracji, prawo głosowania ma ten, kogo stać na zapłacenie tzw. „pool tax“. Jest to bardzo poważne utrudnienie; w stanach Ameryki Północnej ponad 7 milionów białych i 4 miliony czarnych pozbawiono praw wyborczych, ponieważ nie zapłacili tego „podatku“. Władzom amerykańskim nie są też obce metody terroru, stosują go nieraz wobec swoich czarnych poddanych.

Murzyni nie zwyciężyli w wyborach ani w jednym ze stanów Ameryki Północnej, choć w wielu okręgach reprezentują większość. Zwyciężył natomiast ich zaprzysiężony wróg i przeciwnik, który stawiał sobie za cel wytepienie czarnych mieszkańców Ameryki. Przed wyborami kilkakrotnie ostrzegano Murzynów, żeby się nie rejestrowali i nie głosowali. Jednak Murzyni z najliczniej zamieszkałego przez czarnych stanu Georgia, przeciwstawiając się woli przeciwnika, który po dojściu do władzy będzie wobec nich stosował legalne i nielegalne represje, mimo terroru i pogroźek, nie zrezygnowali z przysługujących im praw. Zarejestrowało się ich 150 000, z tego 100 000 głosowało; 50 000 nie odważyło się pójść do urny wyborczej. Wprawdzie w wyborach nie zwyciężyli, ale odnieśli zwycięstwo moralne.

Amerykańskie władze wojskowe wstrzymały ostatnio wysyłkę oddziałów czarnych żołnierzy do Europy. Jest to zupełnie zrozumiałe. Chodzi o to, żeby nie „demoralizować“ Murzynów. W Europie nikt ich nie szkanuje za kolor skóry i nie traktuje jak ludzi niższego rzędu. Przez porównanie poczucie krzywdy i uświadomienie sobie roli pariasów jest tym boleśniejsze. Czarni żołnierze, którzy tyle krwi przelali podczas wojny, przysparzają teraz wiele kłopotu władzom amerykańskim. Walka o byt jest ciężka, więc Murzyni, żeby mieć choć najprymitywniejsze warunki życia, zgłaszali się jako ochotnicy do wojska. Z czasem liczba ich tak wzrosła, że władze wojskowe, broniąc się przed zalewem czarnych, wydały zakaz przyjmowania Murzynów. Tym bardziej, że biali niechętnie patrzyli na swych czarnych kolegów.

Demokracja angielska też nie potrafiła rozwiązać bolesnego problemu wciąż jeszcze istniejących różnic społecznych i prawnych między ludźmi innej rasy. Jak trudne są do przewyżyczenia przesady reakcyjnych kół, w których rękach jest, niestety, Colonial Office i władza nad koloniami, świadczy wymownie fakt, że nawet tzw. radykalna prasa niezszerza pisze o tych sprawach, usprawiedliwiająca brak odwagi „intersem Anglii“.

Lyll Wilkes, członek parlamentu angielskiego, poruszając w niedawno opublikowanym artykule poniżenie czarnych zamieszkujących dominia brytyjskie, kieruje się właśnie tym „intersem“. Szczerze powiada, że taki stan rzeczy musi ulec zmianie w najbliższej przyszłości. Wielka Brytania musi się zdecydować na wybór. Albo trwać będzie przy dawnym ustawodawstwie i straci kolonie, albo da wszystkim równe, sprawiedliwe prawa i utrzyma miliony ludzi przy sobie. Załatwienie tych spraw ugodowo i po ludzku leży w interesie Anglii. Weźmy pod uwagę choćby tylko armię. Anglia dysponująca 450-milionową ludnością mogła wystawić w czasie wojny (i to z trudem) zaledwie 4 milionową armię, gdy Związek Radziecki, liczący 180 milionów ludzi, zorganizował armię prawie pięciokrotnie przewyższającą armię angielską (18 mil.). Za ofiarę krwi Wielka Brytania zapłaciła swym kolorowym żołnierzom czarną niewdzięcznością, bo jak inaczej nazwać niedawny projekt obalenia ustawy, wydanej w czasie wojny, o przyznaniu Murzynom stopni oficerskich. Projekt ten przewiduje też, że „czarni“ oficerowie nie będą wciągani na listę oficerów rezerwy. Ludzie, którzy walczyli z faszyzmem w imię sprawiedliwości i równości wszystkich ras, zostali po prostu oszukani.

Z artykułu omawiającego te sprawy dowiadujemy się wiele innych szczegółów o współżyciu ludności napływowej z ludnością tu-bylną:

1. Władzę nad koloniami sprawują ludzie, którzy odmawiają czarnym prawa samodzielnego rządzenia, uważając, że może im tylko przysługiwać prawo ślepego podporządkowania się białej rasie.

2. W Kenii 18 000 białych przyznano 16 700 mil kwadratowych najurodzajniejszej ziemi, gdy czteromilionowa ludność tubylcza ma tylko 43 000 mil kwadratowych ziemi i to jałowej. Biali posiadają więc 100 razy więcej ziemi i to urodzajnej.

3. Wśród ludności czarnej panuje zagrażający analfabetyzm — 95% nie umie czytać ani pisać. Na 4 000 000 Murzynów tylko 20 mężczyzn studiuje w Anglii, a szkołę średnią ukończyło 150 chłopców, oczywiście nie na koszt państwa. Obowiązek elementarnego nauczania odnosi się tylko do białych.

4. Czarnym, w ich własnym kraju, nie można po 10 godzinie wychodzić na ulice.

5. A już oburzający jest fakt, że czarnego, o ile w swym dowodzie osobistym nie ma zwolnienia z pracy, nie można zatrudnić. Niezwolnienie zostało wprawdzie zniesione, ale tylko na papierze — jego formy zachowały się do dzisiaj. Czarny nie może samowolnie zmienić miejsca pracy, jeśli nie uzyska zgody swego pracodawcy, który może go zatrudniać jak długo zechce, — a pracować musi każdy już od 16 roku życia.

NA ŚRODKOWYM WSCHODZIE

Sprawa angielskiego mandatu nad Palestyną, sprawowanego wciąż jeszcze z ramienia Ligi Narodów, zajmuje od wielu tygodni więcej szpalt w prasie niż odbywająca się obecnie konferencja pokojowa w Paryżu. Utrzymanie tego mandatu to: „bezpieczeństwo komunikacji“ dla Anglii, gdyż Wielka Brytania upatruje sobie południową Palestynę na bazę dla obrony Suez, po usunięciu wojsk z Egiptu. Ta tak żywotna w obecnej chwili dla Anglii sprawa komplikuje się o tyle, że nienawiść i nieufność Żydów i Arabów przybiera niepokojąco na sile. Arabowie bowiem i Żydzi, choć wrogo do siebie ustosunkowani, co do jednego są zgodni — usunąć wpływy angielskie w Palestynie.

Ludność żydowska, która tu w ciągu 20 lat wzrosła liczebnie z 80 tys. do 600 tysięcy, po przystąpieniu Włoch do wojny i po upadku Francji została uzbrojona i przeszkolona do działań wojennych. Projekt podziału Palestyny na dwie prowincje, żydowską i arabską, uważają Żydzi za korzystny dla siebie: 1) weszliby w posiadanie najlepszej części ziemi palestyńskiej; 2) uzyskaliby prawo zakupu trzy razy większego obszaru niż posiadają dotychczas; 3) 99% żydowskich plantacji cytryn, a 85% ogólnej liczby plantacji w Palestynie, znajdowałyby się na terenie żydowskim; 4) terytorium żydowskie, mimo że pod względem rozmiarów mniejsze, przedstawiałyby wartość dwa i pół razy większą niż arabskie; 5) napływ Żydów do Palestyny byłby tylko ograniczony możliwością wchłonięcia pewnej ilości ludzi przez przyznane Żydom terytoria.

Takie było w Izbie Gmin zdanie Churchilla, który stwierdził przy tym, że Arabowie z realizacji tego projektu wynieśliby jedną korzyść — pewność, że Żydzi nie będą już w Palestynie czynnikiem dominującym. Zachodzi jednak obawa, że wprowadzenie w życie tego projektu, który pozwala na swobodną imigrację Żydów, może pociągnąć za sobą przeludnienie przyznanych Żydom terenów, a w konsekwencji, Żydzi wysuną nowe żądania rozszerzenia ustalonych granic.

Tę ewentualność przewiduje „Spectator“: „Komisarz angielski ma wprawdzie prawo weta, o ile się okaże, że imigracja przewyższy możliwości chłonne strefy żydowskiej, ale skorzystanie z tego prawa mogłoby wywołać nowe zamieszki“. Poza tym „projekt podziału Palestyny nie precyzuje jasno, o ile Żydzi, drogą legalną czy nielegalną, będą mogli dążyć do zwiększenia liczby ludności w Palestynie, aby tę większość uzyskać“.

Toteż ta jedyna korzyść, jaką dawałby Arabom omawiany projekt, jest co najmniej pod znakiem zapytania. Żydzi mogą go zaakceptować, ale jak ustosunkują się Arabowie? Zarówno przyjęcie jak i odrzucenie projektu przez obie zainteresowane strony pozostawia

Anglii swobodę działania. Uchylenie się jednak jednej ze stron postawiłoby Wielką Brytanię w przykrej sytuacji, gdyż realizacja projektu wbrew np. Arabom byłaby tą jedną kroplą za dużo, która przepełnia kielich. Ale ten gorzki kielich, zaprawiony omal że cykutą, musi pić Anglia do końca z myślą o „bezpieczeństwie komunikacji“.

Pogrożek angielskich rzeknięcia się mandatu i przekazania go ONZ nie można traktować serio. Jest to jedna z wielu gier, aby nakłonić Trumana do zaangażowania się w te sprawy wspólnie z Anglią. A prezydentowi Trumanowi trudno jest powziąć decyzję ze względu na zbliżające się wybory i konieczność liczenia się z głosami amerykańskich Żydów (4 500 000 głosów i, jak utrzymuje ogólnie opinia, decydujący wpływ na wyniki wyborów w takich stanach, jak New-Jork, Illinois, Pensylwania i Ohio).

W związku z tym prasa angielska krytykuje amerykańską konstytucję, której pewne niedociągnięcia pozwalają niepowołanym, nie znaczącym czynnikiem wpływać na posunięcia rządu, bez względu na to, czy leżą w interesie państwa.

Opinia prasy angielskiej bardzo łatwo i szybko ustosunkowuje się do niektórych faktów i często się zmienia. Jako przykład posłużyć może historia palestyńska. Represje, jakie zastosowały władze angielskie w Palestynie po wybuchu w Hotelu Dawida, spotkały się z ostrą krytyką w prasie. Chodziło po prostu o to, żeby nie zrazić sobie ludności żydowskiej. Atakowano więc generała Barkera za obelżywe traktowanie narodu żydowskiego, za wydanie w rozkazie instrukcji: „uderzyć Żydów po kieszeniach“, podkreślając, że Żydzi, którzy wyjechali do Palestyny, w wielu wypadkach zrezygnowali z wygodnego życia, by pracować jak zwykli robotnicy przy osuszaniu bagien, budowaniu dróg i spółdzielczych osiedli — nie kierował nimi zysk ani interes.

Wyjątek artykułu z tygodnika „Economist“ jeszcze lepiej oddaje stanowisko, jakie zajęły władze wojskowe w Palestynie: „Gdyby władze miejscowe zrezygnowały z terroru, doprowadziłyby na pewno do współpracy, do czego skłaniali się sami Żydzi, ale wolą uciec się do starych metod upakarzających Żydów. Pożalowania godnemu rozkazowi gen. Barkera towarzyszył zakaz wchodzenia do żydowskich hoteli, sklepów i domów prywatnych. Wprowadzenie godzin policyjnych i tym podobne szkykany uniemożliwiły jakiegokolwiek porozumienie“.

Po ogłoszeniu wyników masowej obławy i rewizjach ton prasy angielskiej od razu się zmienił — „dążenie do celu drogą gwałtu i przemocy, wbrew ustalonym prawom, jest niedopuszczalne“.

Jeden z angielskich korespondentów tygodnika „Economist“, który wrócił z 6-miesięcznej podróży, stwierdza, że chyba na całym świecie nie zaszy tak zasadnicze zmiany, w ciągu ostatniego półrocza, jak właśnie na Środkowym Wschodzie.

Do niedawna można było jeszcze dyskutować o możliwości „niebezpiecznego“ przenikania wpływów rosyjskich na tym terenie. „Mimo pozornego spokoju wulkan wrze“.

Dziś wzrost uświadomienia politycznego, narodowego i społecznego, ruch organizacyjny związków zawodowych, to są już fakty dokonane. Konflikt społeczny narasta tu z godziny na godzinę, usuwając w cień zagadnienia narodowościcowe, które dominowały w ciągu 20 lat ubiegłych. Mowy nie ma, żeby dotychczasowe formy społeczne i polityczne, wprowadzone tu przez Anglików, mogły się dłużej utrzymać. Konieczność tych zmian wywołał zresztą nie wpływ Rosji, ale sama wojna, przynosząc ze sobą w krajach arabskich zmiany ekonomiczne i społeczne i „zdumiewający wzrost uświadomienia politycznego tamtejszej ludności“.

W artykule zatytułowanym „Prestige angielski zachwiał się“ ten sam korespondent pisze: „Jeszcze kilka miesięcy temu polityka angielska mogła liczyć na sympatię — obecnie straciła ją zupełnie, ponieważ polityka brytyjska nie wykazuje inicjatywy i nie mają zrozumienia dla wielu spraw. Przyszłe stosunki Anglii z państwami arabskimi zależą od tego, jak zakończy się walka wewnętrzna o władzę — jaki będzie układ sił. Zwycięstwo lewicy będzie oznaczało przegraną wpływów angielskich, z powodu błędnej, konserwatywnej, antylewicowej polityki brytyjskiej — i naturalny zwrot w kierunku Rosji“.

Bogusław Kuczyński

„CZYTELNIK“ WYDZIAŁ ZAGRANICZNY WARSZAWA, UL. WIEJSKA 14

PRZYJMUJE ZAMÓWIENIA NA KSIĄŻKI NAUKOWE I BELETRYSTYCZNE W JĘZYKACH
ROSYJSKIM FRANCUSKIM
ANGIELSKIM NIEMIECKIM
RACHUNKI ZA DOSTARCZONE KSIĄŻKI WYSTAWIAMY W ZŁOTYCH POLSKICH

Ukaż się 3-4 numer miesięcznika naukowego „Myśl Współczesna“. Numer zawiera następujące artykuły: Dr CZESŁAW ZNAMIEROWSKI, prof. UP — Analiza oceny moralnej, Dr ADAM SCHAFF, prof. UŁ — Zasada sprzeczności w świetle logiki dialektycznej, Dr ROMAN MARKUSZEWICZ, doc. UMCS — Ideaty wychowawcze w przeszłości a w rzeczywistości współczesnej, WOJCIECH JASTRZĘBOWSKI, dyr. Dep. Min. Zegl. — Kolonizacja niemiecka w Polsce a demografia, inż. STANISŁAW ROUPPERT, adj. Polit. Łódzkiej — Sztuczna promieniotwórczość i jej zastosowania, LEON SCHILLER — Najpilniejsze zadania teatru polskiego. Nadto numer przynosi kronikę hiszpańską w opracowaniu M. SCHLEBYŃSKA, radziecką — M. WRÓBLEWSKIEGO, prawniczą — S. SZERA, przyrodniczą — Dr J. BARSKIEGO oraz recenzje książek: D. W. BROGANA, N. ASSERODBRAJ, A. OSTROWSKIEGO, J. WIDAJEWICZA, CZ. ZNAMIEROWSKIEGO.
„Myśl Współczesna“ można nabyć we wszystkich księgarniach „Książki“ i „Czytelniak“.

Przegląd prasy

Byłem w Wejherowie i kupiłem sobie numer „Zrzesze Kaszëbskji”, „pisma Ludu Kaszubskiego”, wydawanego pod red. **Bruna Richerta**, literata i działacza regionalnego. Cieszymy się, że 3/4 drukowane w literackim języku polskim, reszta w dialekcie kaszubskim. Dialekcie? Wydawcy „Zrzeszy” piszą wyraźnie o „kaszubskiej kulturze i języku” i red. Richert w artykule „Derdowszczyzna” ostro zwalcza kierunek, który obrał był Jarosław Derdowski, największy syn kaszubskiego ludu: „Derdowski widział w kaszubszczyźnie tylko gwarę, zepsutą polszczyznę. Kultura kaszubska dla niego nie istniała. Był zdania, iż wartości kaszubskie trzeba zamienić na polskie. Derdowski nie widział przyszłości dla kaszëbjizny. Zabrakło mu wiary w sprawę kaszubską a ponadto uważał, że dla sprawy kaszubskiej już *njevorto* się trudzić, bo to sprawa przegrana”.

Wśród Kaszubów rozwijały się, z grubsza streszczając, dwie ideologie: regionalna i separatystyczna. Separatystą był Ceynowa, regionalistami w ramach polszczyzny Derdowski, później Majkowski. Derdowski pisał: „Nie ma Polści bez Kaszëbów — a bez Kaszëb Polści”, Majkowski głosił: „Co kaszubskie — to polskie”; natomiast Ceynowa wyodrębnił Kaszubów całkowicie od Polaków i więcej z Rosjanami sympatyzował niż z ideą polską. Dziś Richert powiada: „Nam nie wolno pozwolić sobie na derdowszczyznę... I chociaż Kaszubi coraz bardziej rozumieją i *stoją wo swoje*, to jednak jest ich zawsze jeszcze mało”. Odbity w styczniu br. Kongres Kaszubski w Wejherowie stanął na gruncie polskości regionu kaszubskiego. Ale uchwały kongresowe są od święta, a „Zrzesze Kaszëbskô” wychodzi 3 razy w tygodniu i ujmuje odrębność regionu kaszubskiego tak szeroko, iż bez ogródek nasuwa porównanie z niestawną robotą *goralską* na drugim krańcu państwa. Wacław Krzeptowski nie przekreślił tradycji Jana Krzeptowskiego i nie mógł się stać jakimś istotnym zagrożeniem polskości na Podhalu. Ale na Kaszubach sytuacja jest inna, inne tradycje i puścizna rządów pruskich nie pięciolecz stulecie dziesięciolecia. Prasa i czujniejsi obserwatorzy na Wybrzeżu nieraz też zwracali i zwracają uwagę na niepokojące objawy ambicji niektórych lokalnych działaczy kaszubskich. Być może, nie jest jeszcze źle; ale nie jest też dobrze. Fakty przesładowania działaczy kaszubskich przez Niemców i wyniszczanie ich w obozach koncentracyjnych nie mogą być w tym wypadku argumentem, tak samo jak, na odwrót, przyjęcie volkslisty trzeciej grupy przez 80 proc. ludności kaszubskiej. Lecz dziś o „sztucznie rozdymanym regionalizmie kaszubskim” wspomina nawet „Życie Słowińskie”. Nigdy nie byłem zwolennikiem przerostów regionalizmu i z wieloma zastrzeżeniami czytywałem pękate tomy, wydawane przez zapaleńców tego kierunku. Doświadczenia *goralskie* i spostrzeżenia z terenu kaszubszczyzny umacniają sceptycyzm i nieufność. Powrócił w Wejherowa zafrasowany.

Poprawił nastroj przykład dodatniego regionalizmu „Arkony”. Parę interesujących przyczynków kaszubskich w podwójnym, wakacyjnym numerze „Arkony” to nie jakieś doszukiwanie się narodowych odrębności, gdzie ich nie ma, lecz trafne wydobywanie cech i osobliwości regionu, uważanego przez wielu do 1939 r. za najważniejszą ukrainę polszczyzny, a będącym i dziś jednym z najbardziej charakterystycznych, choć przestał być pozycją kluczową.

Z innych pozycji „Arkony” zwraca uwagę ostra krytyka „Wiatru od morza”, wpleciona przez Alfreda Kowalkowskiego w artykule o polskiej poezji morskiej: „z gruntu fałszywe i nieuczciwe”, powiada autor, wyrażając krytykę naszej myśli morskiej, kierując nas na tropy bierności, „sentymentalnych wdychań lirycznych lub też tromtadrackich naprężeń piersi, pokrywających pustkę i niemoc wewnętrzną”. Może to i słusze — niemniej pozostanie faktem, że „Wiatr od morza” jest najpiękniejszą dotychczas polską książką morską i dla spopularyzowania idei morskich w Polsce zrobił więcej niż inne utwory marynistyczne razem wzięte. W dziale kroniki B. Sychta) broni pomysłu wzniesienia pomnika Stefanowi Jaraczowi w Olsztynie. Sprawa to głośna w prasie i dobrze się stało, iż „Arkona” ujęła się za inicjatorami pomnika. Ale czy przekonała?

Sprawom morskim, w szerokiemi tego słowa znaczeniu, służy dwumiesięcznik „Jantara”, którego pierwszy po wojnie zeszyt ukazał się świeżo w Bydgoszcy pod zespoloną redakcją (z dr. Józefem Borowikiem, dyr. Instytutu Bałtyckiego na czele), „Jantara” ma być „przełogiem naukowym zagadnień pomorskich i bałtyckich” i jest, jak przed wojną, organem wydawnym Instytutu Bałtyckiego, wysoce zasłużonego około badania i propagowania spraw morskich w Polsce. Z bogatej — zwłaszcza w zakresie informacyjno-dokumentarnym — treści „Jantara” wymienić należy przynajmniej dwa artykuły: B. Srockiego „Polska a Bałtyk w przeszłości i obecnie” i St. Srokowskiego „Problem Odry”, napisane przez wybitnych fachowców, źródłowe i pełne treści. Zestawione przez A. Bukowskiego

„Straty kultury polskiej na Pomorzu” wyróżniają się spośród innych podobnych list ofiar terroru niemieckiego swoją dokładnością i dokumentarną ścisłością. W interesującej — wcale nie blady temat! — dyskusji o nazwę administracyjną pojezierza mazurskiego ścierają się ze sobą zwolennicy nazw „Prusy” i „Pomorze Wschodnie”; a nam się zdaje, że utrzymać, utrzymać i zastąpić inną nazwą „Mazury” i „województwo mazurskie”, za którą przemawiającej bodaj względów praktycznych. Źródłowo jest opracowana kronika gospodarczej i naukowego życia na Pomorzu. W dziale recenzji mała rewelacja jest omówienie powieści przywódcy filopruskiego „Masurenbundu” Maxa Worgitzky'ego „Sturm über Masuren”; w książce, wydanej w zenicie zwycięstw niemieckich (lipiec 1942), daje się

dostrzec wyraźne zwątpienie w końcowe zwycięstwo Niemców na terenie mazurskim. Zamyka zeszyt bibliografia oraz omówienie roku prac Instytutu Bałtyckiego, który m. i. wydaje następujące periodyczne publikacje: „Komunikaty Działu Informacji Naukowej Wyd. Pomorzoznawczego Instytutu Bałtyckiego” (dotychczas 14 pozycji), „Komunikaty Geosporadczego Archiwum Morskiego, Wydz. Morskiego Instytutu Bałtyckiego” (dotychczas 25 pozycji) i „Biuletyn Informacyjny Morski”.

Omówiliśmy szerzej „Jantara”, ponieważ pismo to zasługuje na uwagę wszystkich, którzy interesują się problemami morskimi i przy-morskimi.

Jaszcz

Kronika francuska

CO KOSZTOWAŁA WOJNA BIBLIOTEKI FRANCUSKIE?

Julien Cain, administrator „Bibliothèque Nationale” w Paryżu, który objął po Bouteronie funkcję dyrektora „Bibliothèques de France”, podał szereg danych bilans straci, jakie poniesiły w czasie wojny biblioteki francuskie. Wojna dotknęła przede wszystkim biblioteki prowincjonalne. Najwięcej ucierpiały miejskie biblioteki w Tours, Caen, Douai, Cambrai i Chartres, co jest zupełnie zrozumiałe, bo tam toczyły się główne działania wojenne. W Caen uległa też zniszczeniu biblioteka uniwersytecka, a biblioteka uniwersyteku strasburskiego poniosła straty na około pół miliona książek. Jeżeli chodzi o mniejsze ośrodki, to zniszczono 12 bibliotek. Straty wynoszą ogółem 2 miliony książek i w wielu wypadkach są nie do powetowania. Między innymi: w Chartres zniszczono 160 inkunabułów, 600 starych rękopisów, (jeden z XI wieku), 350 opracowań z wyciskami herbami; w Tours wspaniałe rzeźbione szafy z zamku Chanteloup, spalone doszczętnie w 1940 r., 1200 rękopisów, 400 inkunabułów, 4500 miedziorytów; w Strassburgu stara biblioteka lekarzy strasburskich; w Metz 1475 rękopisów i 500 inkunabułów; w Falaise 100 rękopisów, w tym rękopis Roman de la Rose z XV w. i 24 listy Woltera do Turgoty. W pieniądzech straty te można przeliczyć na parę miliardów. Od 1945 roku zaczęła się akcja, mająca na celu zaopatrzenie opustoszałych bibliotek w nowe książki. Kapitał, jaki dotąd przyznano na opłacenie pierwszych potrzeb, wynosi 4 miliony franków. Jest to nieproporcjonalnie mało w porównaniu ze stratami. Poza tym biblioteki ocalałe mają obowiązek przyjąć z pomocą zniszczonych i tak np. biblioteka Sorbony wzięła pod swoją opiekę bibliotek uniwersytecką w Caen, która dzięki temu zaczęła już pracować.

Nie mniej ważnym zagadnieniem, jeśli chodzi o odradzające się biblioteki francuskie, jest brak odpowiednich lokalni i urządzeń, które w wielu miejscowościach (Beauvais, Douai) zostały całkowicie zniszczone.

SOMMERSET MAUGHAM WE FRANCJI

Somerset Maugham, którego inwazja niemiecka wygnana z Francji, powrócił już z Ameryki i zamieszkał na Cote d'Azur. Od czasu do czasu odwiedza swoją wille, aby dopilnować jej remontu. „Villa Mauresque” („Willa Maurytańska”) została zniszczona i uszkodzona w czasie wojny — naprzód przez Włochów, a potem przez samoloty alianckie. Pisarz brytyjski unika raczej reporterów, ale przedstawicielom „Nouvelles Littéraires” chętnie udzielił wywiadu. Somerset Maugham jest szczerym przyjacielem Francji i wierzy, że musi się ona podnieść z upadku. W wydawnictwie „Plon” ukazała się wkrótce tłumaczenia jego ośmiu ostatnich powieści napisanych w Ameryce „The Razor's Edge”, „Then and Now”. W najbliższym czasie znakomity angielski francuski, rektor uniwersytetu, Paul Dullin, autor książki „W. Somerset Maugham et ses romans”, wręczy Somersetowi Maughamowi dyplom doktora honoris causa.

XXI i XXII TOM „LUDZI DOBREJ WOLI” JULES ROMAİNSA

Jeżeli można powiedzieć o jakiejś powieści, że jest „roman fleuve” („powieść-rzeką”), to chyba przede wszystkim o cyklu Julesa Romaïnsa „Ludzie dobrej woli”, który ma podobno liczyć, według zamierzeń autora, 27 tomów.

W najbliższym czasie ukaza się w Flammariona XXI („Journées dans la montagne”) i XXII tom („Les Travaux et les Jours”). Ale nazwa powieści-encyklopedii odpowiadałaby chyba lepiej temu cyklowi — to co z miejsca uderza czytelnika, to charakter encyklopedyczny „Ludzi dobrej woli”. Akcja XXI tomu toczy się w 1923 r. Jean Jerphanion przygotowuje się do wyborów w swoim kantonie. W XXII tomie widzimy go w świecie politycznym wśród elity towarzyskiej Paryża. Autor porusza ważne sprawy polityczne i społeczne, jakie wyłonily się po pierwszej wojnie światowej. Głównym zagadnieniem, które omawia w obu tomach, jest sprawa niewykorzystania możliwości po pierwszej wojnie — sprawa pokoju. Na prowincji, gdzie Jerphanion przeprowadza kampanię wyborczą, nie mówi się jeszcze o Hitlerze, ale nazwisko Mussoliniego już daje się tu i ówdzie usłyszeć. Sytuacja, którą przedstawia autor, daje chwilami złudzenie sytuacji chwili obecnej, że mimo woli przypomina się zdanie o polityce brytyjskiej: „Trzeba lawirować, lawirować — z przynajmniej 5 z sojusznikiem — niekiedy z oboma — ale lawirować nie można poza zasięgiem prawdy i oblicza. Jak być lojalnym wobec wszystkich, jeśli się lawirowa z wielu partnerami?”.

KARIERA JEAN LOUIS BARRAULTA

4 stycznia 1935 r. na scenie „Théâtre de l'Atelier” zadebiutował młody reżyser, Jean Louis Barrault. Sztuka, która wtedy wystawił, „Autour d'une mère” („Dokoła matki”) była przerobką powieści Williama Faulknera „Tandis que j'agonise” i szła zaledwie cztery razy, przy bardzo słabej frekwencji. Ci, którzy zaryzykowali wylecieć na plac Dancourt, aby zobaczyć „Autour d'une mère”, wysławiali go przez nieznanego reżysera, byli zaskoczeni i dezorientowani. Ale byli wśród nich i tacy, którzy w oryginalnym i zupełnie nowym ujęciu sztuki widzieli zapowiedź wielkiego talentu prawdziwego temperamentu dramatycznego, zjawiającego się raz lub dwa razy w ciągu wieku. Program podawał krótkie streszczenie sztuki: „historia chorej matki, która pragnie, aby jeszcze za jej życia dzieci dąły zrobić trumny, a po śmierci, na rodzinnym wózku, w obecności najbliższych, przewieziona do miasta, na cmentarz do Jeffersona, gdzie spoczywają jej rodzice”. Streszczenie okazało się cennym i koniecznym kluczem dla widza, sztuka była bowiem grana w zupełnym milczeniu — tylko mimika i gesty wyrażały jej sens i treść. Coż wiedzianno wtedy o Jean Louis Barrault? Kiedyś, gdy był gospodarzem klasy w Collège Chaptal, nie rozstawał się z Eschylosem i Racinem, a największą jego pasją był teatr. Zaczęło się od „Théâtre des Arts”, gdzie statystował, zarabiając 10 franków za występ. Potem przeszedł do szkoły Charles Dullina, do „Théâtre de l'Atelier”. Grywał tu małe rólki, ale nie był już statystą. „Porzuciłem gospodarstwo klasy, aby wró-

cić na ławę szkolną” — powiedział kiedyś żartobliwie. I rzeczywiście lata spędzone w „Atelier” nauczyły go rzemiosła, były latami terminowania i praktyki. A Dullin był wymagający. W owym czasie Jean-Louis Barrault wiele czytał i pracował nad sobą. Jedną myśl uparcie zaprzętała mu głowę — unowocześnienie teatru. Wprawdzie reformy Jacques Copeau odmówiły już dekoracje i wystawę, wprowadziły nową technikę światła, ale po macoszemu traktowały mimikę i gesty. A przecież aktor jest nie tylko głosem, ale i ciałem, gesty są nie mniej ważne na scenie niż intonacja. Jak często bywa z nowatorami, Jean Louis Barrault poszedł trochę za daleko w swojej teorii gestu i dlatego jego pierwsza sztuka była niema.

W „Atelier” nie brakowało mu entuzjazmu, ale jakże często pieniądze. Spisał na podłozie w kącie magazynu z dekoracjami, które służyły mu za postanie. „Autour d'une mère” nie przyniosła mu upragnionego rozgłosu, ale za to pierwszych oddanych przyjaciół. Z nimi przeniósł się na rue des Grands Augustins, aby bez zastrzeżeń poświęcić się sztuce scenicznej. Tu na „strysku des Grands Augustins”, na improwizowanej scenie opracowywano wspólnie role. Wkrótce przyszła dobra passa. Wytwórnia filmowa wyrwała go z tej pustelni, ale Jean-Louis Barrault nie przestał myśleć o przebudowie teatru. W 1937 r. wystawia „Numance” Cervantesa. Pełen ekspresji obraz obleganego miasta był jednym wielkim triumfem. W 1939 r. w „Théâtre de l'Atelier” wystawia „Głod” Hamsuna. Jean-Louis Barrault jest obecnie w „Comédie Française”, ale przechodzi do teatru Margnig, gdzie zamierza wystawić „Proces” Kafki w adaptacji André Gide'a.

WŚRÓD KSIĄZEK I CZASOPISM

W Paryżu wyszła pod redakcją René Lalou antologia poezji francuskiej, obejmująca utwory od XIV w. do naszych czasów, pt. „Les plus beaux poèmes français”. Wywołała ona wiele hałasu w życiu intelektualnym Paryża. Louis Aragon w tygodniku „Lettres françaises” zaatakował René Lalou za zamieszczenie w tej antologii trzech, zresztą dawnych, poematów Charlesa Maurrasa, figurującego na czarnej liście kolaborantów; sprzeciwiając się to uchwale z września 1944 r. wykluczającej jakkolwiek współpracę ze skompromitowanymi pisarzami.

W pierwszej rocznicę śmierci Paula Valéry (20. VII. 1945) ukazało się u Gallimarda popularne wydanie „Mon Faust”.

„Académie de Province” zwołała pierwsze (po 6 latach przerwy), zebranie swych członków w „Grenier des Erivains” pod przewodnictwem Maurice'a Pottlicher. Na zebraniu ustanowiono nagrodę dla pisarza regionalnego (za powieści) i postanowiono podjąć wszczęte przed wojną starania o „Maison des Provinces” w Paryżu.

W numerze 32 „Poésie 46” ukazały się przekłady polskiej poezji, poprzedzone przedmową Kazimierza Czachowskiego, który kreśli krótki bilans ruchu literackiego w odrodzonej Polsce. Są tam wiersze: Balińskiego, Broniewskiego, Iwaszkiewicza, Jastwa, Miłosza, Purkiewicza, Słonimskiego, Sze-walskiego i Ważyka. Przekładu, białym wierszem, dokonał J. H. Dumasais. W związku z tym w lipcowym numerze „Nouvelles Littéraires” pojawiła się notatka, której autor pisze, że Polska odważnie podnosi się z ruin i zaczyna powoli nawiązywać kontakty ze światem żywych.

U Flammariona wyszła książka Léona Noël, byłego ambasadora w Warszawie, w latach 1935—39, „L'agression allemande contre la Pologne”. Przyznosi ona nieznane szczegóły o przyczynach i początkach konfliktu światowego.

Książka „Pologne et Russie”, której autorem jest Edward Krakowski, przedstawia, jak w ciągu wieków układały się stosunki polsko-rosyjskie. Jedno można zarzucić autorowi, że nie zna dobrze historii Rosji dzisiejszej. Poza tym książka ta może oddać duże usługi tym, którzy interesują się problemem słowiańskim.

Z. L. Zalewski, profesor uniwersytetu warszawskiego, był więźniem obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie wygłosił w „Académie des Sciences Morales” odczyt pt. „L'esprit psychologique et social dans les camps de concentration allemands”.

Prezes Akademii, Maurice Reclus, złożył profesorowi Zalewskiemu, w imieniu obecnych, serdeczne gratulacje. W jakim czasie później profesor Zalewski został wybrany zagranicznym korespondentem „Section de morale”.

mst

Miesięcznik jeńców i deportowanych. We Francji zaczął wychodzić miesięcznik pod tytułem „Les Vivants”, organ b. jeńców wojennych i deportowanych (tj. więźniów obozów koncentracyjnych). Obraz świata i Francji, jaki wytworzyli sobie więźniowie i jeńcy w okresie niewoli, ma znaleźć odbicie na kartach miesięcznika. Henri Maldiney zamierza coś w rodzaju manifestu, dającego wyobrażenie o głębokich przemianach duchowych, jakie przeszli byli jeńcy francuscy w obozach niemieckich. Wyniki przemyśleń chcą dziś omiłużytkować dla dobra kraju.

Czasy pogardy. Pisarz francuski Vercors w odczynie wygłoszonym w wielu miastach USA zwrócił uwagę na deprecjację życia ludzkiego, tak dziś niedocenianego. Jakaż różnica z okresem sprzed niespełna 20 lat, gdy np. śmierć burmistrza Korfu, egzekucja Sacco i Vanzettiego, czy śmierć Ferrera wstrząsały opinią świata. Trzeba walczyć z tym spodemieniem i zbrutalizowaniem sumień!

Spotkania francusko-włoskie. Pisarze włoscy zamieszkałi w Paryżu wydają w języku francuskim miesięcznik pt. „Rencontres”, poświęcony zblizeniu obu krajów. Pisują tu m. in. poeci Alberto Moravia i Lanza del Vasto i powieściopisarz Elio Vittorini, który wydał wielkie dzieło o partyzantach we Włoszech północnych. „Zbyt długo brakowało nam Włoch. Trzeba, ażebyśmy się odnaleźli” — pisze o pierwszym numerze „Rencontres” recenzent „Espirit”.

Wzięcie i niewola jako temat poezji. W ostatnio wydanych tomach poezji francuskiej poeci powracają często do tematów więzienia, wygnania i niewoli podczas wojny. Jean Wahl był w więzieniu i obozie, Guy Levis-Mano, Luc Decaunes, Pierre Henri Simon, Henri Mouglin, André Frenaud byli jeńcami, Jean Cayrol i Robert Desnos — byli depor-

towani. Do najciekawszych zalicza się tom Jean Wahla „Poèmes de Circonstance”. Albert Beguin pisze o nim w „Espirit”: „Kondensacja jest tak silna, że język całkowicie surowy i prosty usunął rym i muzykę. Czasem nachodzi nas wątpliwość, czy jest to poezja, gdyż nie tutaj nie dźwięczy, a składnia właściwa jest rozmyślanom filozoficznym. Zderzenie, starcie, oświecenie odkrywczą postawą z antytezą, paradoksu i domyślnej dyalektyki, a same nawet obrazy, nieraz bardzo piękne, jakby przenikają owo napięcie myśli. Ale chwilami jest to właśnie poezja najbardziej przekonująca, zwłaszcza w utworach, pisanych w obozie. Staje się ona głosem ludzkiego cierpienia i ludzkiego pragnienia”.

Poeta Jean Cayrol przywioził z Mauthausen, gdzie spędził długie miesiące w „Vernichtungslager” i cudem ocalał — dwa zbiory „Miroir de la Rédemption” i „Poèmes de la Nuit et de Brouillard”. Katalożem jest nutą najsilniejszą. Postacie torturowanych braci są ukazane na tle wiary w nieskończoną wartość Miłosierdzia. Twórcy hitlerowskiego systemu to, według Cayrola, ci, co „chcieli zniszczyć miłość i zabić człowieka”.

O Claudelu. Wybór Claudela do Akademii Francuskiej sprawił, że ukazała się o nim wielka ilość prac. Broszura Raymonda Jouve, z przedmową samego poety, ma być wskazówką: „Jak czytać Pawła Claudela”. Louis Ferche wydał komentarz do „500 Claudela”. Michel Carrouzet ogłosił studium porównawcze „Eluard a Claudel” z próbą analizy metafor obu poetów. Ukazały się nadto: zbiór esejów o Claudelu pisał A. Molitor, antologia prozy Claudela opracowana przez A. Blanchet i „Studia claudelowskie” X. Friche, zestawiające sady krytyczne o poecie i jego myśli tomistyczną. Sam Claudel wydał w swobodnym tłumaczeniu „7 psalmów pokutnych”. Przekład ten odbiega bardzo od dawnych tłumaczeń francuskich z XVII i XVIII wieku.

Nowy talent powieściopisarski. Wielkie wrażenie i gorące spory wywołała we Francji książka młodego, 26-letniego pisarza Louis Pauwelsa „Saint Quelqu'un”. Jest to historia robotnika, pracującego podczas wojny w organizacji Todta. Ucieka on z obozu pracy, odzyskuje żonę i dzieci — ale pewnego dnia staje bezradny, kiedy runięło jego szczęście. Zna bowiem znalazła list od kochanki, który zapomniał w kieszeni. Bohater powieści nie potrafi zdobyć się na wyjaśnienie sprawy. Odchodzi, by powrócić dopiero w chwili agonii swego dziecka. Francuska krytyka katolicka zarzuca książkę postawę hinduizmu i obecnej naszej cywilizacji — bierności.

„Zasadnicze” dni życia. Autorka francuska Ray, monde Vincent wpada na pomysł, przypominający nieco powieści „Życie trwa 4 dni” Otwiniowskiego: Chodzi jej o 2—3 dni „zasadnicze” w życiu bohatera, René.

Čapek po francusku. We Francji ukazał się przekład znakomitej powieści czeskiej, u nas niestety nieznannej: „Fabryki absolutu” Karola Čapka. Jest to fantazja na temat rozkładu atomu i wywołanego przez to przewrotów, tym ciekawsza, że napisana jeszcze przed wojną (autor zmarł w r. 1938, w strasznej depresji wskutek rozbioru ojczyzny w Monachium). Krytyka francuska nazywa książkę Čapka „jedną z najlepszych nowości obecnego sezonu”, podkreśla jej dowcip i głębię intelektualną, a niektóre epizody uważa za arcydzieła.

„Nowele mało przykładne”. Pośmiertnie wydane zostały nowele Francois Verneta, świetnie zapowiadającego się młodzieńczego pisarza, który zginął w Dachau, mając zaledwie 27 lat. Tematem „Nowel mało przykładnych” są bolesne wydarzenia z roku 1940 i okresu okupacji.

„Dom okupowany”. J. Bouissouhoussie wydała rodzaj pamiętnika, który jest jakby żywą kroniką Francji okupowanej. Mnóstwo tu obserwacji o Niemcach, o tych co palili i znęcali się i o tych, co dostarczaali wiadomości Ruchowi Oporu.

Rola krytyki. Pani Claude Edmonde Magny, uważana dziś za mistrza francuskiego esejisty, zastanawia się nad funkcją społeczną krytyki w książce pt. „Les Sandales d'Empédocle”. Autorka wyraża pogląd, że w każdej epoce świadomości kolektywnej wyraża się w dziełach poetycznych i imaginatywnych rozmarcie i rozbieżnie. Zadaniem krytyki jest koordynacja tych ekspresji i przyspieszenie sformułowania się świadomości współczesnej; co więcej krytyk zwraca się ku przyszłości i stara się wydożyć w teraźniejszości — to co jest „zażakim jutra”. Krytyka musi jednak zawsze ustąpić kroku filozofii, jako reprezentancie abstrakcyjnego myślenia. Swoje wywody ilustruje pani Magny esejami o Sartre, Kafce oraz angielskim powieściopisarzu i dramaturgu Morganie.

Biografia Apollinaire'a. Jeden z przyjaciół sławnego poety polskiego pochodzenia, André Rouveyre, wydał biografie Apollinaire'a, wzbogaconą nieznany mi listami. Dużo miejsca zajmuje miłość w życiu poety.

Kubista teatru? Ciekawym wydarzeniem ubiegłego sezonu teatralnego w Paryżu była nowa sztuka André Obeya, poety katolickiego i nowego dyrektora Komedi Francuskiej, „Maria”. Większość krytyków przyjęła ten utwór niezyczliwie. Zarzucano mu, że nie jest właściwie sztuką teatralną, a Obeya nazwano „Kubistą teatru”. Ale inni krytycy (np. Thierry Maulnier i Georges Lerminier) stwierdzają, że nawet jeśli „Maria” jest omyłką — to w każdym razie omyłką podną i nie wolno jej sądzić według sklerotycznych reguł estetyki.

Trudność francuskiego filmu. Wskutek zubożenia, wywołanego wojną i okupacją, film francuski przeżywa trudne chwile. Koszty jednego filmu wynoszą przeciętnie 80.000.000 franków i nie mogą być pokryte wpływami z samego rynku francuskiego. Eksport nie jest jeszcze zorganizowany, więc produkcja filmowa przeważnie radzą sobie oszczędnościami, obniżając nieraz poziom artystyczny.

Literatura dziecięca. Przebijając podczas wojny w kwaterek partyzanckich („maquis”) pani Suzanne Fernand Ulmann obmyśliła plan wydanictwa dla dzieci, obejmujący zbiory opowiadań z różnych krajów, sztuki teatralne i marionetkowe, gry i „Bibliotekę Młodego Humanisty”.

O angielskim romantyzmie. O zainteresowaniu sprawami kultury innych narodów we Francji świadczy m. i. specjalne numery miesięczników. Ostatnio np. „Les Lettres” wydały 240-stronicowy tom poświęcony romantyzmowi angielskiemu. Za wiera on tłumaczenia poezji Byrona, Coleridge'a, Keatsa, Shelleya i innych, oraz kilkanaście esejów.

Głód książek. Ożywione czytelnictwo i trudności związane z brakiem papieru sprawiają, że księgarnie paryskie nie mogą zaspokoić potrzeb klientów. Zwłaszcza dzieła Balzaca, Stendhala, Montaigne'a i Rabelais sprzedaje się „spod lądny” — jak artykuły paskowe.

Rosyjska powieść po francusku. Krewny zmarłego niedawno prezesa Najwyższej Rady ZSRR, Anatol Kalinin, napisał powieść pt. „Kozak Czakin”. Obecnie utwór ten ukazał się także w przekładzie francuskim (wydawnictwo „Lugdunum” w Lyonie).

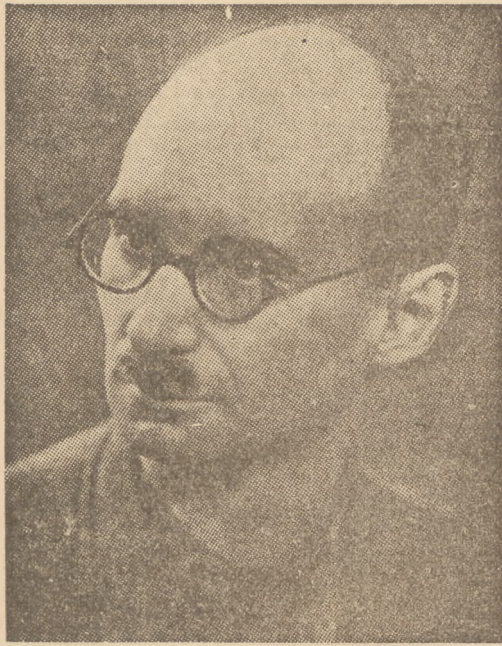
Zagadka niemiecka. Znacząca sprawa niemieckich we Francji Adrien de Meusy wydał książkę „Wytłumaczenie obcych Niemiec” (Editions Maréchal, Paris—Liège). Zdaniem autora Niemcy są narodem infantylnym, ale ich infantylizm ma charakter niebezpieczny. Wyleczyć ich może jedynie współpraca Anglosasów, Francuzów, Polaków, Rosjan i Czechów.

wn

Ukazał się nr. 1
organu Żydowskiej Partii Robotniczej
«POALEJ SION» Iewica

12 stron druku
«PRZEŁOM»
cena numeru 3 zł.
Do nabycia w punktach sprzedaży «Czytelnika»

NAGRODA LITERACKA



WOJCIECH BĄK

znany poeta, otrzymał nagrodę literacką miasta Poznania za rok 1946

W SPRAWIE NAZW SZCZAWNO I KARPACZ

Do redaktora „Odrodzenia“

W numerze 31 „Odrodzenia“ z dnia 4 sierpnia br. poświęcił red. J. A. Szczepański kilka uwag mojemu artykule pt. „W obronie śląskich nazw miejscowych“...

Nadawanie nazw polskich miejscowości, które nigdy nazwy polskiej nie posiadały, nie jest rzeczą prostą, o ile się nie chce postępować lekko-myślnie, ani też o ile się nie chce — zbytnio sobie pracę ułatwiając — mechanicznie kalkować nazw niemieckich...

Korespondencja

stwa Ziemi Odzyskanych“ ma moc obowiązującą. Odtąd Salzbrenn zwie się tylko i wyłącznie Szczawnem. Przeciwnicy tej nazwy z Zarządu Zdrojów Dolnośląskich operują podobno zarzutem, że jakoby wywołuje ona nieprzystojne skojarzenia...

Co się bezsensownego jako nazwa miejscowa Karpacza tyczy (wyraz pochodził z języka litewskiego, gdzie oznacza człowieka pokrytego brodawkami), został on niestety ostatecznie Karpaczem, jakkolwiek od tej nazwy poprawnie urobiony przymiotnik karpacki (bo i z tym się trzeba liczyć) powodować może różnego rodzaju nieporozumienia...

I jeszcze jedno. Miło mi powitał w red. Szczepańskim kolega w zakresie tworzenia nowych nazw miejscowych. Jako rodzic kilkudziesięciu nazw tatrzańskich ma niewątpliwie zrozumienie dla sprawy uporządkowania nazewnictwa geograficznego na Śląsku...

NAGRODA MUZYCZNA



ARTUR MALAWSKI

muzyk i kompozytor, otrzymał nagrodę artystyczną województwa krakowskiego

Anegdoty literackie

90 ROCZNICA BERNARDA SHAWA
Gdy zapytano Bernarda Shawa, dlaczego od tak długiego czasu stale przebywa w Hertfordshire, odpowiedział: — Pewnego dnia, gdy przechadzałem się po cmentarzu w Hertfordshire, zupełnie przypadkowo zwrócił moją uwagę napis na jednym z nagrobków: „Umarła w 90 roku życia. Życie jej było krótkie“...

znał angielskie słowo „Good bye“, wyszedł. Stąd udał się wprost do słynnej restauracji Simpsona, dwa kroki od Adelphi Terrace's, gdzie mieszkał Shaw, i zamówił sobie podwójną porcję krawawego rostbeifu. Po południu Rodin spotkał się znów z Shawem u księcia Westminsteru...

TRAGIKOMEDIA

Zapytany, co myśli o eksperymencie w Bikini, Shaw powiedział: — Jest to chyba pierwsza amerykańska komedia, której wysłuchało się do końca.

W PRACOWNIACH PISARZY I UCZONYCH*)

Ankieta „Odrodzenia“

ks. Stanisław Kozierowski: Mam przygotowane do druku następujące prace, których wydanie w obecnych warunkach jest trudne:

- 1. Atlas nazw geograficznych zachodniej Słowiańszczyzny: III. Mapy: Słubice, Zgorzelec, Wrocław, Nysa, Jelenia Góra. IV. Mapy: Berlin, Dźwelin (Magdeburg), Dobragóra (Halle), Jarobród (Erfurt), Drezno, Kamienica (Chemnitz), Norymberga.
2. „Nazwy wód stojących między Łabą i Wołgą“. Przeszło 2500 stron rękopisu zeszytowego.
3. „Nazwiska i imiona polskie z uwzględnieniem wszystkich słowiańskich, zwłaszcza czeskich, walekich, obodryckich i żytyckich“. Rękopis zawiera 4700 stron zeszytowych.

Jan Sokołowski: Wydaje pracę naukową pt. „Ssaki owadożerne (Insectivora) i gryzonie (Rodentia) Gór Świętokrzyskich“.

*) Por. nr. nr. 68—91 „Odrodzenia“.

Kronika filmowa

„Zwycięstwo w Tunisie“, film produkcji anglo-amerykańskiej.

Nie ulega wątpliwości, że narody anglosaskie są niezmiernie dokładne w pieczołowitym gromadzeniu dokumentów, a zwłaszcza w tak wielkim przedsięwzięciu, jak ostatnia wojna. Żadna faza tej wojny nie została pominięta tak, by nie można sobie odtworzyć jej obrazu, by nie można zrozumieć jej pragmatyki...

„Zwycięstwo w Tunisie“ należy do programu tej oficjalnej wersji dzieł i to do jednego z zwrotnych jej momentów, przyszło bowiem do skutku jako odpowiedź Niemcom na zajęcie Norwegii i było pierwszym prześwieceniem w ręce państw sprzymierzonych. Miało swoją historię w tajnych konferencjach Roosevelta i Churchilla i sztabu doradców wojskowych na cztery miesiące przed puśczeniem w ruch gigantycznej maszyny desantowej...

I we współdziałaniu z VIII armią egipską wyrzucił wojska państw ości z kontynentu afrykańskiego.

Korespondent wojenny i fotograf, jakby impresario tego wielkiego teatru, idzie w ślad zdarzeń, prowadzony jeszcze czyjąś ręką z góry, gdyż nie ulega wątpliwości, że w chwili robienia użyciu ze swego aparatu nie wiedział jeszcze, co fotografuje i czemu służy, tym więcej, że nie był to jeden człowiek, ale cały legion rozplanowany na poszczególne sektory akcji...

Dwie armady, jedna płynąca ze Stanów, druga z Wielkiej Brytanii, połączyły się w akcji przed Gibraltarem, by potem w kilku punktach zaatakować wybrzeże francuskich kolonii w Afryce. Grunt był politycznie przygotowany przez przeciwnie na stronę państw sprzymierzonych przez admirała Darlana, ale mimo to doszło do — krótkotrwałego co prawda — oporu załóg francuskich w portach. Na zajęcie Marokka i Algieru Niemcy odpowiadają okupowaniem Francji-Vichy i gorączkowym przetrucaniem wojsk przez Sycylię do Tunisii...

Tyle o „fabule“ tego romansu, powszechnie zresztą znanej. Ale jak ją zrobili reżyser i kino-operator? Od razu trzeba powiedzieć, że byli bardzo odważni i pchali się na sam front. To byli żołnierze, tylko że zamiast pistoletu automatycznego trzymali w ręku kamerę. Miało to jeszcze tę gorszą stronę, że mając pistolet w ręku można się odgrzyść nieprzyjacielowi, z obiektywu zaś nie podobna tego zrobić, że kiedy jest „gorąco“, żołnierz może, a nawet powinien się kryć, ale fotograf nie, przeciwnie, powinien utrzymywać najefekowniejse wybuchy i łomoty. Dlatego sądzi, że niejedną z nich nie dokończył swego dzieła — dożył tylko zaszczytnej wzmianki w rozkazie dziennym jako poległy.

Film jest bardzo jasny i przejrzysty, dzięki wsparciu o głos speakera, który prowadzi widza przez perypetye akcji (nawet w polskiej wersji) i dzięki liczny grafikom, wykładającym strategiczny sens każdego zamierzenia. Wykład jest zaprawiony odrobina humoru, wykazującą wyższość strategii anglosaskiej nad niemiecką i w tym tkwi jego treść propagandowa. Widzom, którzy pamiętają „Dieppe“ w robocie niemieckiej, też zresztą dobrze pod względem technicznym, ten film daje satysfakcję za uczucie niemości, które się wówczas przeżywało, śledząc krótkometrażowe triumfy Wehrmachtu.

Marian Promiński

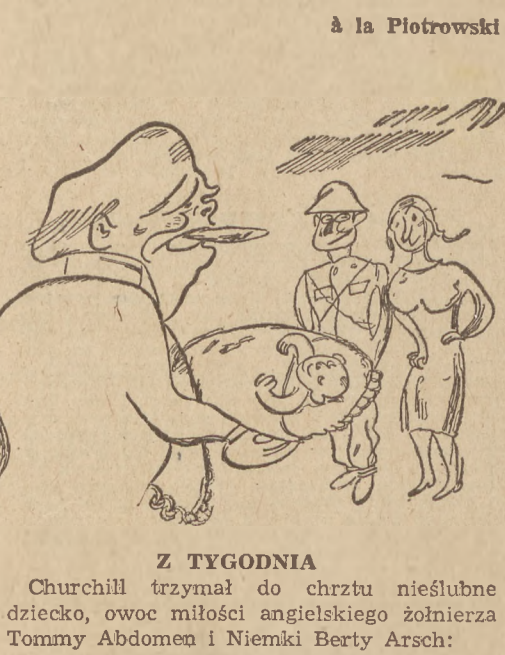
CUDZE PIÓRKA



— Panie Karafka, jak pan może mówić, skoro pan nie ma ust? — Pan i tak nie słyszy, bo pan nie ma uszu.



Grus koników miał aż siedem, Dzisiaj został mu ten jeden.



Z TYGODNIA
Churchill trzymał do chrztu nieślubne dziecko, owoc miłości angielskiego żołnierza Tommy Abdomen i Niemki Bertie Arsch: Gra w otwarte bękarty!



— Przepraszam pana, która godzina? — Ta sama, co wczoraj o tej porze.

rysunki i teksty Artura M. Swinarskiego